



Maria Cecylia Guziółek

MIEJSCE NA TEJ ZIEMI

Motto:

„Jednostka poprzez kulturę uświadamia sobie swoje znaczenie w zespole, który nazywa się narodem — naród poprzez kulturę uświadamia sobie swoje znaczenie w świecie”.
(Z przemówienia kongresowego Jarosława Iwazkiewicza)

pracy udział teoretyków i praktyków”.

Nikt rozsądny nie będzie proponował dziś ogłoszenia przerwy w działalności kulturalno-oświatowej i czekania na wyniki opracowań materiałów — jak wiemy — przebogate. Jest to praca dla jednego zespołu ludzi mądrych i doświadczonych, a na wyniki trzeba będzie poczekać w niektórych zagadnieniach nie tydzień, dwa lub miesiąc... I plany te będą tylko kierunkowskazami ułatwiającymi poruszanie

i nową częścią nie ma, istnieją one w mentalności ludzkiej. I tak bytują obok siebie... Wydaje się, że scementowanie tych mikroorganizmów rządzących się jakimiś tam własnymi prawami w prężne ośrodki miejskie — to pilne, chociaż długofalowe zadanie dla działaczy kultury i oświaty, a przede wszystkim dla pracowników ośrodków kulturalnych.

Hołdowanie do niedawna jeszcze w praktyce obowiązującej zasadzie „każdy sobie” nie może sprzyjać tworzeniu się nowej społeczności opartej na światłych i postępowych zasadach etyki i moralności, kształtowaniu się społeczeństwa godnego czasów, w których żyjemy. Egzistencjalne i małostkowe serduska zaśniedziałych mieszczuchów zbyt często jeszcze próbują narzucić swój styl życia i bycia miastu, chlubiącemu się urodą nowoczesnych bloków, ulic i dzielnic.

Rzeszów słusznie często mówi o swym awansie i błyskotliwej karierze. Podkreśla, że z dwudziestokilkutysięcznego miasteczka przekształcił się w prawdziwą stolicę bogatego województwa i do licznych przydomków dorobił się tak znakomitemu jak „miasto wyższych uczelni”. Wszystko to prawda, tylko przybył nieznający statystycznych danych i historii naszego zakątka ze sposobu bycia i życia miasta nie wyniesie opinii, z której tak jesteśmy dumni.

Jarosław Iwazkiewicz w swym przemówieniu niejedno zdanie poświęcił jednostce i miejscu, jakie powinna zająć w życiu społeczeństwa. To świadome samookreślenie jest potrzebne człowiekowi do pracy i działania, do aktywnego zaangażowania w codzienność.

A nasz dzień powszedni może być ogromnie interesujący i będzie nim, gdy z biernego konsumenta dóbr kulturalnych przekształćmy się w uczestników społecznego ruchu kulturalnego i jego współtwórców. W tej ofensywie przeciw obojętności i marazmowi właśnie środowiskom predysponowanym do funkcji kulturotwórczych przypadnie szczegól-

się na terenach mniej znanych lub niedocenianych a ważkich.

Studiując referaty i wypowiedzi z dyskusji, każdy działacz i pracownik kultury i oświaty, każdy człowiek, któremu sprawy kultury są bliskie — bezbłędnie może określić swoje miejsce w życiu społeczno-kulturalnym. Pobudzenie aktywności środowisk twórczych, naukowych, popularyzujących oświatę i sztukę, przemyślenie dalszej działalności, odrzucenie tego, co przeszkadza, było głównym celem Kongresu Kultury. Cel został osiągnięty. I teraz będzie zależało czy społecznikowska pasja, która panowała nie tylko na plenarnych posiedzeniach w pięknej sali Teatru Wielkiego, w czasie obrad 12 komisji problemowych, w towarzyskich rozmowach w kularach — oka-



Dzisiaj zdajemy sobie sprawę z tego, że Kongres Kultury Polskiej był głównym ogniwem ogólnonarodowej dyskusji na temat dalszej drogi rozwojowej naszej kultury, dyskusji, która trwa. Co prawda, obecnie ma ona już inny charakter, jest konkretniejsza, bardziej związana z poszczególnymi środowiskami, miastem, województwem.

Prawie 2000 delegatów na kongres i jego uczestników znów wyrusza na spotkania, by przekazać gorące debaty kongresowych dni. Jest to jeszcze jedna okazja do zastanowienia się i przedyskutowania problemów kultury i oświaty swego terenu. Konfrontacja tych spraw w skali krajowej na kongresowym forum umożliwiła obecnie wybór właściwszych dróg i rozwiązań.

Na zdjęciu:

głowy z kasetonów stropu Sali Poselskiej Zamku Królewskiego na Wawelu.

CAF —
ROSIAK



Z trybuny sejmu twórców i naukowców, działaczy i pracowników kultury i oświaty mówilo 340 osób. Prezydium kongresu otrzymało prawie 1000 wniosków, postulatów i propozycji naprawy i dalszego rozwoju kultury Rzeczypospolitej. Przewiduje się, że stenogram obrad będzie zawierał co najmniej 2 tys. stron maszynopisu.

„Stenogramy z przebiegu dyskusji powinny być przedmiotem gruntownych studiów — stwierdził kierownik Wydziału Kultury KC PZPR tow. Wincenty Kraśko, zabierając głos w czasie zakończenia kongresu. — Jest to poważne zadanie Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz innych instytucji i organizacji. W oparciu o dorobek tej dyskusji powinien być opracowany plan realizacji wszystkich słusznych i możliwych do wykonania dezyderatów i wniosków. Potrzebny jest w tej

nie słomianym ogniem czy stylem pracy na froncie edukacji narodowej, jakim jest kultura w najszerszym pojęciu.

Powojenne zmiany polityczno-ekonomiczne przekształciły Rzeszowszczyznę nie do poznania. Zbudowanie tu prężnego ośrodka przemysłowego pociąga za sobą tworzenie się całkiem nowej społeczności. Przemiany w psychice uśpęniają jednak dynamicznemu rozwojowi przemysłu i tworzeniu nowych skupisk miejskich. Niejedno z miast Rzeszowszczyzny (rzecz ma się podobnie z nowymi centrami przemysłowymi w całym kraju) w swej strukturze urbanistycznej i społecznej odbiega od tradycyjnego pojęcia miasta, chociaż taką oficjalną nosi nazwę. Są to raczej osiedla. Równocześnie stare organizmy miejskie obrastają nowoczesnymi dzielnicami i chociaż rzeczywistych bastionów i murów granicznych między starą

nie aktywna rola. Ważkie efekty winno przynieść dalsze zbliżenie się zespołu naukowego wyższych uczelni do problemów Rzeszowa i województwa. Konsolidacja środowisk artystycznych poprzez popularyzację uprawianych gałęzi sztuki i wciągnięcie wszystkich potencjalnych odbiorców w jej krąg może przyczynić się do znalezienia właściwego miejsca sztuki w życiu każdego człowieka. Również uaktywnienie i rozszerzenie działalności na problemy dnia dzisiejszego towarzystw regionalnych może skupić wokół ich tematyki szerokie rzesze miłośników historii i współczesności. Popularyzacja natomiast kultury masowej stanie się bardziej efektywna przez wprowadzanie nowych metod działalności, przy równoczesnym zachowaniu sprawdzonych i dających dobre rezultaty form pracy przez placówki kulturalne.

Pole do aktywnej działalności szeroko otwarte!

Zygmunt Kaczkowski (1825—1896) nie urodził się wprawdzie na ziemi sanockiej, ale od dzieciństwa aż do opuszczenia kraju w 1864 r. łączyły go wieloletnie węzły z tym regionem geograficznym Polski południowej. Ojciec bowiem pisarza w niedługim czasie po jego urodzeniu się objął posadę administratora dóbr Aleksandra Fredry w Cisnej i zakupił z czasem wieś Bereźnice.

Nie będziemy tutaj śledzić młodości, „lat nauki i wędrówek” przyszłego twórcy „Murdeliona”. Do-

które umożliwiło mu opracowanie serii opowiadań i powieści, przedstawiających koniec czasów saskich i epokę stanisławowską.

II

Właściwy debiut artystyczny Kaczkowskiego przypada na 1851 r., kiedy na łamach krakowskiego „Czasu” ukazała się „Bitwa o chorążankę”, rozpoczynająca szereg opowiadań i powieści historycznych, wchodzących w skład cyklu: „Ostatni z Nieczujów” (1853—1855). Opowiadanie to stanowi jakościowy

Antoni Jopek

ROZWAŻANIA O TWÓRCZOŚCI SANOCKIEGO PISARZA

(W 70 rocznicę śmierci Zygmunta Kaczkowskiego)

dajmy tylko, że ulegając woli rodziców, po krótkotrwałych studiach uniwersyteckich we Lwowie i w Wiedniu osiadł on w Bereźnicy, gdzie gospodarował pod opieką babki, Marianny z Bylczyńskich Kaczkowskiej. Zajęciem rolniczym niewiele czasu poświęcał, często przebywał we Lwowie i uczestniczył w tamtejszym życiu intelektualno-literackim zorganizowanym wokół Zakładu Ossolińskich. Niebawem (zwłaszcza po 1848 r.) pełen uroku, młody, przystojny dandy zasłynął z hulaszczygo trybu życia i na trwałe zapisał się do lwowskiej chronique scandaleuse.

W 1846 r. Kaczkowski związał się z umiarkowanie demokratycznym ruchem spiskowym i w lutym wraz z ojcem znalazł się w oddziale powstańcy Jerzego Bułharyna. Na padnięty i poturbowany przez chłopów w Cisnej, został doprowadzony do więzienia w Sanoku, a potem przewieziony do Lwowa. Skazany wraz z ojcem i siedmioma towarzyszami niedoli na karę śmierci w dniu 28 VI 1847 r., doczekał się jednak wiosny Ludów i zanim nadeszła z Wiednia odpowiedź na jego odwołanie się od wyroku sądowego, wyszedł na wolność w dniu 18 III 1848 r. W Sanoczu miał organizować konną Gwardię Narodową.

Dzieciństwo i wczesna młodość Kaczkowskiego upływały w atmosferze wspomnień o dawniejszej i bliższej przeszłości narodowej. W Cisnej po kłesze 1831 r. dłużej lub krócej przebywała wielu uczestników powstania listopadowego, wśród nich Seweryn Goszczyński i Wincenty Pol. Autor „Pieśni Janusza”, w którego towarzystwie Zygmunt odbywał wycieczki krajoznawcze, niewątpliwie wpłynął na zainteresowania geograficzne chłopca, co z czasem znalazło swój wyraz w jego twórczości literackiej.

Bardzo ważną rolę, jeśli chodzi o ukształtowanie pisarstwa przyszłego twórcy „Murdeliona”, odegrały wspomnienia z epoki konfederacji barskiej. Echa tych wydarzeń żyły w pamięci rodzinnej oraz sanockiego sąsiedztwa i stwarzały specyficzny klimat ideowy, oddziałujący na wyobraźnię Zygmunta. Zresztą „czasy kontuszowe” trwały w południowej Małopolsce, a zwłaszcza na ziemi sanockiej, odciętej już w 1772 r. kordonem granicznym od pozostałych ziem polskich, wyjątkowo długo, bo aż do 1846 r. i Wiosny Ludów. Kaczkowski zapamiętał z lat swojej młodości cały korowód „egzemplarzy” starodawnej Sanoczczyzny.

Ponadto w więzieniu lwowskim (a może nawet wcześniej) studiował materiały źródłowe odnoszące się do XVIII wieku. Przyszły autor „Gniazda Nieczujów” nie napisał wprawdzie, jak zamierzał, dzieła naukowego o konfederacji barskiej, ale za to zdobył przygotowanie historyczne,

skok w dotychczasowym dorobku młodego pisarza. Autor sięga w „Bitwie” oraz w następnych utworach nieczujowskich po formę gawędy szlacheckiej, spopularyzowanej na gruncie literatury polskiej przez Henryka Rzewuskiego w „Pamiętkach Soplicy”. Za pośrednictwem sarmackiego narratorsa, osiemnastowiecznego szlachcica Marcina Nieczui Ślaskiego, przedstawia Kaczkowski w sposób nader barwny i plastyczny, z ścią „kossakowskim” rozmachem życie obyczajowe szlachty sanockiej oraz regionów sąsiednich.

Autorem większości opowiadań i powieści nieczujowskich zaszczępił na tkance gawędy szlacheckiej staropolski romans obyczajowy („Bitwa o chorążankę”, „Kasztelanie lubaczewscy”, „Gniazdo Nieczujów”, „Swaty na Rusi”, „Murdelion”, „Mąż szalony”). Dramatyczna anegdota organizuje tworzywo fabularne wielu utworów wchodzących w skład cyklu.

W „Murdelionie” — czołowym osiągnięciu beletrystyki historycznej Kaczkowskiego — występuje udziwniony bohater tytułowy — francuszczykanin z Krosna, który znajduje swoich poprzedników w przebranych mnichach przewijających się przez dziewiętnastowieczną powieść „gotycką”, szczególnie angielską, operującą elementami niezwykłości i grozy, a także i poprzez twórczość Waltera Scotta. Bardzo interesująco skonstruował pisarz dwa paralelne wątki romansowe, zwłaszcza perypetie Murdeliona, beznadziejnie uwikłanego w tragiczną miłość do stolnikowej Strzegockiej.

Nieco odmienny ton odzywa się w „Mężu szalonym”. Autor do pierwszej części powieściowego „tryptyku” wprowadza lud wiejski, a w „Powieści teorbaniści” (stanowiącej najobszerniejsze i najważniejsze „skrzydło” utworu) kozacki narrator relacjonuje dramat uczuciowy starosty Kitajgrodzkiego i jego żony. Ludowy opowiadający o wiele ostrzej patrzy na szlachecko-magnacką obyczajowość, aniżeli pan Marcin.

Kaczkowski jest mistrzem w kreśleniu scen zbiorowych. Szlachta sanocka przypomina wprawdzie pod wieloma względami herbowych pobratymców z innych dzielnic Polski, ale uwydatniają się u „owsianych” znaczne różnice charakterologiczne, wynikające w dużym stopniu z odrębności geograficznej. Sanoczczyzna leżąca na uboczu, z dala od głównych traktów komunikacyjnych. Zalety i wady (zwłaszcza pijaństwo i awanturnictwo) występują u sanoczan w większym niż gdzie indziej zagęszczeniu.

Chociaż łagodny humor zaciera odróżniające cechy szlacheckiej obyczajowości i moralności, trudno mó-

Jubileusz PWN Nowe sztuki polskich autorów



Fot. M. KOPEĆ

W roku bieżącym przypada jubileusz 15-lecia największej i najpotężniejszej w Polsce, II pod względem wielkości w Europie i należącej do czołówki światowej instytucji wydawniczej — Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Od 1951 roku PWN zdołał osiągnąć imponujące wyniki — 12,5 tysiąca tytułów wydawnictw książkowych, 75 tytułów czasopism naukowych (4500 numerów) oraz 53 miliony nakładu pozycji wydawniczych, oto niektóre liczby ilustrujące ten dorobek.

Rozwój PWN-u wiąże się ze zmianami zachodzącymi w strukturze społeczno-zawodowej i nauce w kraju. Rośnie wciąż ilość pracowników naukowych, postępuje rozbudowa szkół wyższych i rośnie liczba studentów. Wynika stąd potrzeba stałego wzrostu publikacji informacyjnych o wynikach badań naukowych, potrzeba coraz większej ilości podręczników i wydawnictw dla studentów. Szerokie kręgi nowej inteligencji poszukują różnego rodzaju prac encyklopedycznych. Wreszcie najważniejsze wyniki polskiej nauki wymagają publikowania ich w językach obcych, by dzięki temu mogły dotrzeć do głównych ośrodków myśli naukowej świata. Te wszystkie przyczyny zdecydowały o rozwoju Państwowego Wydawnictwa Naukowego i zasadniczych kierunkach jego działania.

Praca wydawnicza PWN-u obejmuje kilka podstawowych rodzajów publikacji. M. in. prace badawcze ogłaszane przez Polską Akademię Nauk, towarzystwa naukowe, szkoły wyższe i instytucje naukowe informujące o wynikach badań naukowych. Inny dział stanowią prace dydaktyczne (podręczniki, skrypty i książki pomocnicze dla studiujących). PWN wydaje również książki informacyjno-naukowe (encyklo-

pedie, słowniki, informatory), edycje popularnonaukowe, prace w językach obcych i czasopisma. PWN jest w zasadzie wydawnictwem uniwersalnym, gdyż w obrębie tych głównych działów uwzględnia nauki społeczne i humanistyczne, matematyczno-przyrodnicze i podstawowe nauki techniczne.

Trzeba dodać, że dla realizacji tak rozbudowanego programu wydawnictwo zorganizowało zespół redakcji działowych (18) i zespół redakcji encyklopedii i słowników (15).

Największym osiągnięciem Państwowego Wydawnictwa Naukowego są wydawnictwa subskrypcyjne stanowiące wydarzenia w naszym życiu naukowym i kulturalnym w okresie dwudziestolecia. W roku 1961 wydawnictwo ogłosiło subskrypcję na „Wielką Encyklopedię Powszechną” w 13 tomach, na 5-tomową „Geografię Powszechną”, na „Atlas Świata” oraz w roku 1962 na „Słownik Języka Polskiego”. Te wydawnictwa stanowią pomniki naszych osiągnięć edytorskich, a ilość subskrybentów świadczy o zapotrzebowaniu społecznym na tego rodzaju publikacje (Encyklopedia 133 tys. subskrybentów, Geografia 63 tys., Atlas 143 tys., Słownik ok. 30 tys.). Takie osiągnięcia edytorskie świadczą najlepiej o rozmachu PWN-u, a równocześnie o osiągnięciach nauki polskiej.

W związku z jubileuszem otwarto w dniu 7 bm. wystawę wydawnictw PWN-u, w westybule gmachu Prez. WRN, stanowiącą ilustrację dorobku zasłużonej instytucji. O działalności PWN-u poinformował zebranych dyrektor oddziału krakowskiego Władysław Negrey, a otwarcia ekspozycji dokonał przew. Prez. WRN w Rzeszowie Edward Duda.

J. G.

Nowe sztuki polskich autorów

Repertuar naszych teatrów wzbogacił się ostatnio o szereg nowych sztuk polskich dramaturgów.

„Bohater pozytywny” — to tytuł sztuki Andrzeja Bonarskiego. Jest to opowieść o zwykłym szlachetnym człowieku. Jego tragiczne dzieje ukazane są na przestrzeni kilkudziesięciu lat, poczynając od okresu międzywojennego. Dwie inne sztuki tego autora „Panienki” i „Antygona” składają się na całość sceniczną pt. „Czarne i białe”. Akcja „Panienek” toczy się w szkole przyklasztornej, „Antygony” — w stolicy jednego z nowo powstałych państw afrykańskich, wkrótce po nieudanym zamachu stanu.

W oparciu o akta inkwizycji weneckiej (w tłumaczeniu H. Zawadzkiego) napisał sztukę pt. „Proces Giordano Bruno” Zbigniew Nieniecowski. Autor ukazuje w niej osiem ostatnich lat życia Giordano Bruna, jego zmagania z władzami kościelnymi, które głoszone przez niego poglądy uznają za herezje.

W latach 1815—1825 toczy się akcja sztuki Marceliny Grabowskiej „Czyżby Solura?”. W oparciu o powieść szwedzkiego z życia cara Aleksandra I, autorka przedstawia oryginalną, ironiczną wersję tej postaci.

„Ratować Kołbusiaki!” — taki tytuł ma widowisko Jalu Kurka. Utwór nawiązuje wyraźnie do „Wesela” Wyspiańskiego. W lesie na drodze do Zakopanego uległ wypadkowi samochód z wycieczką. Podczas przymusowego postoju na lesnej polanie uczestnicy wycieczki przeżywają wielką przygodę — spotkanie z postaciami z podkarpackich legend i polskich dziejów — dawnych i najnowszych.

Tradycyjny trójkąt małżeński jest tematem jednoaktowej komedii Janusza Wasylkowskiego „Ten trzeci”. Sztuka, wraz z poprzednio przez niego napisanymi jednoaktówkami „Początek komedii” i „Węzeł rodzinny”, stanowi całość, której autor nadał tytuł „Tryptyk erotyczny”. Tryptyk w sposób żartobliwy ukazuje rozbieżności między powszechnie przyjętymi normami obyczajowymi a rzeczywistością.

Edmund Niziński jest autorem sztuki „Rekonwalescencji”. Jest to tragicomiczna historia ostatnich dni życia dyrektora fabryki, człowieka o bujnej i bogatej przeszłości, partyzanta, który metodami stosowanymi podczas wojny sprawnie i energicznie, choć nie zawsze zgodnie z przepisami, kieruje swym zakładem.

W Koryncie „w czasach bajecznych” toczy się akcja sztuki Ludwika Woźniackiej „Przybieda”. Wątek mitologiczny posłużył autorce jako kanwa utworu psychologicznego.

Zartem scenicznym na temat powikłań i kłopotów współczesnego życia rodzinnego jest komediodrama Anny Świrszczyńskiej „Mama piaci alimenty”, a farsą kryminalną — „Trójkąty symetryczne” Andrzeja Zycha.

Sztuką „Kompromis, czyli wszystko dobre co się dobrze kończy” zadebiutował młody aktor i polonista Bogdan Smigielski. Jego utwór — to opowieść o niecodziennych kolejach losu literata Karola S., który po dłuższym pobycie w Paryżu powraca do kraju. (KCI-PAP)

HIPNOZA

Tę komedię o międzywojennych sfrustrowanych przygotował na Małą Scenę jeszcze przed wakacjami Teatr im. Wandy Siemaszkowej. Rzecz chwyciła i dziś „Hipnoza”, bijąc rekordy powodzenia, przeniosła się na scenę dużą, dotarła do najodleglejszych zakątków województwa, takich nawet, gdzie teatr ze względów technicznych do tej pory nie był.

Oczywiście, że „Hipnoza” nie jest ewenementem intelektualnych osiągnięć teatru, ale bo też nazwisko jej autora — Antoniego Cwojdziańskiego takich wartości nie obiecuje; daje natomiast zapowiedź dobrze skonstruowanej sztuki, humoru, komediowych spięć i bawi zestawie-

nem teorii naukowych z rzeczywistością.

Właśnie te walory sztuki Cwojdziańskiego podkreśliła staranna reżyseria Jerzego Pleśniarowicza, który wydobyl z niej nie tylko dowcip, ironię, ale i pastisz, nie zacierając przy tym jej wybitnie aktorskiego charakteru.

Dłatego resztę ciężaru dwuosobowego przedstawienia udźwignęła zupełnie sprawnie Jadwiga Ulatowska i Jerzy Kizukiewicz — sfrustrowana nostalgicznie aktoreczka na emigracji oraz jej lekarz, wierzący w biogostawione skutki psychosomatyki hipnozy, aktorzy, których widzimy właśnie na zdjęciu.

K. 8



Fot. A. HADAL

Edward Żolowski

DLA CIEBIE...

Dla Ciebie
rosy
kropla spada
słowik wypelnia
fletem okna
dla Ciebie
mieszkam
wewnątrz drzewa
wyciskam dłońmi
piasek z ognia

Przyginam promień
do ust Twoich
by było jasno
w każdym słowie
dla Ciebie
pragnę
kamień dźwigać
układać bukiet
z płatków powiek

Dla Ciebie
ptaki
lecą w przestrzeni
wino rumianków
pływie w usta
dla Ciebie
oddam
każdą radość
niech będzie
Twoją
znów od jutra

Na wysokościach
światła
cieni
gdzie echa legend
nas wołają
dla Ciebie
szukam
Pieśni Ziemi
przez którą wiele
już się stało

Skrzyszów, w czerwcu 1966 roku

Rozważania o twórczości sanockiego pisarza

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wić o całkowitej apoteozie sanockiego środowiska. Kaczkowski bowiem za pośrednictwem sarmackiego narratora zdobywa się i na akcenty krytyczne wobec przedstawianej przez siebie warstwy społecznej.

Nie zapominajmy jednak o patriotyzmie Nieczuj oraz jego „owsianych” ziomków. Pan Marcin wraz z sanoczanami wziął udział w konfederacji barskiej, w wojnie 1772 r., w powstaniu kościuszkowskim. Przez kilkanaście lat walczył przy boku Napoleona, o czym autor informuje w „Grobie Nieczui”.

O dodatkowych wartościach cyklu nieczujowskiego decyduje również język i styl. Kaczkowski wychodzi z polszczyzny sobie współczesnej, zwłaszcza z tej odmiany, jaka w połowie XIX stulecia zachowała się w tradycjach dworskich szlacheckich. Nasyca ten język wyrazami przestarzałymi i archaizmami. Dużą rolę pełnią tutaj utarte zwroty, przysłowia, którymi obficie inkrustuje zarówno język narracji, jak i partii dialogowych. Twórca „Kasztelanów lubaczewskich” unika tych elementów mowy polskiej, które kojarzyłyby się czytelnikowi z językiem epoki romantycznej. Archaizacja językowa jest bardzo umiarkowana. Nie utrudnia lektury tekstu, wręcz przeciwnie, pozwala w pełni delectować się urokami sarmackiej stylizacji.

III

„Bracia ślubni” (1854) nie należy formalnie do cyklu nieczujowskiego. Autor mimo wahań, co do ostatecznej koncepcji

podmiotu mówiącego wprowadza wszechwiedzącego narratora, który chociaż nie rezygnuje ze szlacheckiej oceny sarmackiej obyczajowości, to jednak patrzy bardziej krytycznie aniżeli Nieczuja na sanocki partykularizm. Kaczkowski przedstawia pełną dramatycznych spięć historię dwóch niedobrych małżeństw szlacheckich. Jeden z sanockich bohaterów został okielznany przez żonę, a drugi przez szwagra. „Sprawiedliwość” w końcu zwyciężyła i doszło do poskromienia sarmackiej złośnicy, a niecny szwagier pozabawiał się życia.

„Starostę holobuckiego” (1857) stara się pisarz dosyć sztucznie związać z cyklem: „Ostatni z Nieczujów”. Usiłuje wpoić w czytelnika przekonanie, że właściwym opowiadającym jest Pan Marcin. Tymczasem anonimowy narrator przedstawia zdarzenia z punktu widzenia Jacka Jahotkowskiego — głównego bohatera fabuły powieściowej. Jego przygody romansowe w stolicy oraz zabiegi o odzyskanie starostwa wyznaczają ramy konstrukcyjnej powieści. Kaczkowski załącza autentyczne obyczajowe szczegóły. I nie ma w tym nic dziwnego. Napisał bowiem salonowy romans „z kluczem” i pod postaciami warszawskich intelektualistów z epoki stanisławowskiej przedstawił krakowskie środowisko literackie z połowy XIX stulecia, a pod postacią Petryny zohydził swoją byłą narzeczoną — Paulinę Ratajską.

W „Grobie Nieczui” (1858), pomyslnym jako epilog cyklu nieczujowskiego, autor zerwał ze skonkretyzowanym narratorem Sarmatą, co pozwoliło mu na rozbudowę wątków erotycznych oraz pogłębienie przeżyć psychologicznych postaci powieściowych. Nawet w tym utworze nie obeszło się bez pierwiastków gawędowych. Wielkie wydarzenia historii (organizowanie spisków po III rozbiórce Polski, kampania napoleońska we Włoszech), chociaż zostały potraktowane epizodycznie, umiarkowanie jednak na losy cyklowych bohaterów. Kreując to dzieło, Kaczkowski o wiele intensywniej niż dotychczas wyżył źródła i opracowania historyczne.

IV

„Grób Nieczui” zapowiadał do pewnego stopnia „Anuncjate” (1858) — (kon-

federacja barska) oraz powieść pt. „Sodalis Marianus” (1859) — (konfederacja tarnogrodzka). W obu powieściach autor rozbudowuje tło historyczne i wprowadza wybitne postacie z naszych dziejów. Historia romansowa w „Anuncjacie” spełnia rolę spława fabularnego. Kaczkowski w zawołowanej formie (czczural) wydobywa patriotyzm szlachty polskiej, występującej przeciwko ingerencji wojsk obcych w sprawy Rzeczypospolitej. Mimo pewnych akcentów idealizujących zwraca uwagę na istotne błędy oraz słabości szlacheckiego ruchu zbrojnego.

▼

Kaczkowski osadza akcję wielu utworów („Bitwa o chorążankę”, „Kasztelanice lubaczewscy”, „Pierwsza wyprawa pana Marcina”, „Gniazdo Nieczujów”, „Bracia ślubni”, niektóre partie „Murdeliona”, „Męża szalonego”, „Grobu Nieczui”) w Sanoczczyźnie. Autor szczególnie był uwrażliwiony na surową urodę sanockiego krajobrazu, który niejednokrotnie stanowi naturalne tło ukazujących przezeń zdarzeń fabularnych. Zagadnienie to wymagałoby osobnych, bardziej szczegółowych rozważań. Warto jednak przy tej okazji dodać, że u Kaczkowskiego ziemia sanocka obejmuje nie tylko obszar dzisiejszego powiatu sanockiego, ale również Lesko, Ustrzyki, Baligród, a nawet Krosno.

Autor „Braci ślubnych” pisał także i powieści współczesne. Utwory te („Dziwożona” 1855, „Wnuczeta” 1855, „Bajronista” 1857, „Rozbitek” 1861) nie przyniosły mu sukcesu artystycznego. Nader wątpliwa jest ich wymowa ideologiczna. Uległy też słusznemu zapomnieniu. Natomiast trwale miejsce w dziejach polskiej literatury zapewniły Kaczkowskiemu opowiadania i powieści historyczne i to zarówno w pierwszym trwającym przeszło 10 lat, jak i w drugim okresie jego działalności artystycznej.

ANTONI JOPEK

Zdzisław Kozioł

ORDERY I RUDERA

POZORNIE wydawałoby się, że wieś ta jest tylko jeszcze jednym przykładem ilustrującym dysproporcje w materialnej bazie szkolnictwa; przecież w wielu miejscowościach dzieci uczą się w trudnych, nawet bardzo trudnych warunkach, przesadzających niejednokrotnie możliwość stosowania nowoczesnych metod dydaktycznych. W tym jednak wypadku sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, a mieszkańcy i władze powiatowe powołują się zarówno na dawne zasługi wsi, jak i zagrożenie zdrowia dzieci.

Argumenty rzeczywiście mocne. Widziałem już „szkołę pod ślomianną strzechą”, a bez metafor — wynajętą izdebkę w wiejskiej chacie krytej słomą, w której uczyło się kilkanaście dzieci. Sporo jeszcze szkół mieści się w pomieszczeniach zastępczych, ale zaszymany opis warunków w Rzeczy Długiej wydawał mi się nieprawdopodobny. lub co najmniej mocno przyjaszkawiony. Pojechałem do tej wsi. Alarm podniesiony przez przedstawicieli administracji szkolnej w Tarnobrzegu jest jak najbardziej uzasadniony, nie wiem tylko, który z argumentów jest ważniejszy: dotyczący przeszłości wsi czy obecnych warunków nauczania...

Zacznijmy od przeszłości. Rzeczyca Długa leży na prawym brzegu Sanu, owym słynnym Zasianiu. Przed wojną wieś bodajże fernaliska, a lata okupacji jeszcze długo nie będą dla jej mieszkańców historią, o której można beznamiętnie rozprawiać.

Rzeczyca Długa przylega do lasów lipskich; lasy lipskie i janowskie były terenem krwawych walk partyzanckich. Słynna jest przede wszystkim bitwa z czerwca 1944 roku. Trzy niemieckie dywizje liczące 25—30 tysięcy żołnierzy zaatakowały zgrupowania partyzanckie. Nierówną walkę podjęła część 1 Brygady Armii Ludowej im. Ziemi Lubelskiej dowodzonej przez „Witka” — kapitana Ignacego Borkowskiego (w skład tej formacji wchodziła 3 kompania liniowa Batalionów Chłopskich), 2 Brygada AL im. Wandy Waslewskiej z kapitanem Stanisławem Szelestem; polsko-radziecki oddział partyzancki im. Józefa Stalina, którego dowódcą był „Mucha” — kpt. Mikołaj Kunicki, notabene autor ciekawych pamiętników opublikowanych przed paru laty. Walczył także specjalny oddział łącznikowy AL dowodzony

przez Leona Kasmana oraz liczne zgrupowanie radzieckich oddziałów partyzanckich. W sumie 3 tysiące partyzantów; walkami kierowało wspólne dowództwo z podpułkownikiem Mikołajem Prokopiukiem.

Walki w lasach janowskich i lipskich z uwagi na bliskość frontu miały szczególne znaczenie; wiązały znaczne siły Niemców, którzy ponieśli tu duże straty. Zginęło około 2000 hitlerowców, partyzanci zaś stracili 200 ludzi. Nie chodzi mi o opis walk, które po przełamaniu okrążenia kontynuowano w Puszczy Solskiej. Pragnę jednak podkreślić lewicowy charakter ruchu oporu w tym rejonie.

Owczesne wydarzenia — którym poświęcono już sporo opisów: politycznych, wojskowych czy pamiętnikarskich — są jeszcze żywe w pamięci uczestników i świadków. W miarę zaś upływu czasu, fakty osnuwa legenda nadając partyzanckiej epopei swoisty koloryt romantyzmu, bohaterstwa, grozy...

W lasach lipskich znajdowały się dwie partyzanckie radiostacje: „Kijów” i „Moskwa”; mieszkańcy Rzeczy opowiadali mi o bezpośrednim kontakcie radiowym ze Stalinem, który w krytycznym momencie walk miał przypomnieć radzieckim partyzantom, że „żołnierze radziecki się nie poddaje”. Opowiadano mi o ludziach, którzy zginęli i o tych, którzy żyją; wiele nazwisk znanych mi jest z późniejszego okresu.

Ślady wojny w pewnym sensie widoczne są jeszcze dzisiaj. Wspomniałem, że w czerwcowych walkach straty partyzantów wyniosły 200 zabitych. A ofiary wśród ludności cywilnej, lata przesładowań i pacyfikacji! W Rzeczy Długiej hitlerowcy spalili 86 proc. domów. Ludzie żyli w ziemiankach i lepiankach nawet po zakończeniu działań wojennych, bo najpierw budowali pomieszczenia dla inwentarza żywego. Lata okupacji odbiły się na zdrowiu dzieci urodzonych już po wojnie.

Niepodległość przyniosła pierwszy owoc zwycięstwa: reformę rolną. Chłopi otrzymali ziemię, wkrótce zaś mogli podjąć pracę w zajęciach pozarolniczych, głównie w pobliskiej Stalowej Woli. Mieszkańcy Rzeczy Długiej — mówili mi przedstawiciele władz powiatowych — wyróżniali się w każdej akcji politycznej, a np. referendum było też walką. Lewicowy ruch oporu przekształcił się w siłę polityczną na której opierała się nowa władza.

Na marginesie nasuwa mi się pewna uwaga: komentatorzy przemian społecznych nie uwzględniają w dostatecznym stopniu wydarzeń poprzedzających industrializację, zbyt absolutyzują czynnik ekonomiczny, który ma bezsprzecznie doniosłe znaczenie, lecz nie jest jedynym, jeśli chodzi o ukształtowanie postawy ludzi wobec wielu problemów współczesności.

Powróćmy jednak do tematu, konkretnie zaś do sprawy szkoły w Rzeczy Długiej. W fernalskich wsiach szkół dawniej nie budowano, przynajmniej szkół we współczesnym tego słowa znaczeniu. Po wojnie w Rzeczy dzieci uczyły się w 4 punktach, a żadne z tych pomieszczeń nie odpowiadało wymogom i chyba ambicjom mieszkańców. Po reformie rolnej i odbudowie spalonej wsi, kolejnym sukcesem była adaptacja starej, liczącej ponad półtora wieku kuźni podworskiej na szkołę. Piszę to bez ironii; obiekt ten był lepszy niż dawne, rozrzucone po wsi punkty nauczania.

Chłopi chcieli jednak prawdziwego budynku szkolnego. Przeważnie w czynnie społecznym wnoszono je w sąsiednich wsiach, które posiadały majątek gromadzki. W znacznie lepszej sytuacji znalazł się pobliski Antoniów; otóż jeszcze przed wojną położono fundamenty pod duży — jak na tamte czasy — obiekt. W uroczystości wmurowania aktu erekcyjnego uczestniczył generał Sosnkowski. Dlaczego akurat w Antoniowie przedwojenne władze zamierzały zbudować tak okazałą szkołę? Podobno generałowa Sosnkowska pochodziła z tych okolic. Informacji tej nie sprawdziłem, słyszałem tylko na ten temat kilka anegdot i analogii, nie pozbawionych ludowej dosadności i satyry.

W Rzeczy Długiej szkołę od lat obiecywała budować nowa władza, lecz obiekt ten — jak to się zwykło mówić — raz po raz wypadał z planu. Na zakończenie ostatniego roku szkolnego zastępca przewodniczącego Prezydium PRN w Tarnobrzegu obwieścił wsi triumfalnie: „No, wreszcie będziemy budować”. Przedwczesna radość; szkoła znowu „wypadła” z planu. Pytałem, jak zareagowała wieś na tę decyzję władz wojewódzkich. Usłyszałem odpowiedź wysoce znamiennej: — „Ludzie jeszcze o tym nie wiedzą, ale boimy się, że mogą stać się oportunistami”. Aktyw wiejski radzi nad wynikią sytuacją, rozważa argumenty, które przekonają władze wojewódzkie. Ktoś wysunął nawet wniosek, by zebrać byłych partyzantów, tych z orderami bojowymi, niech je na piersi zawieszają i jadą do Warszawy...

Wspomniałem, że trudne warunki lokalowe ma niejedna szkoła. Dlaczego więc akurat piszę o Rzeczy? Dlatego, że w tej wsi są wyjątkowo ciężkie warunki, tamtejszy „obekt szkolny”, dawna kuźnia, w porównaniu z nowymi szkołami, których opis i zdjęcia zajmują tyle miejsca na łamach prasy, to bez przesady symbole dwóch różnych epok.

Kilka szczegółów: zbutwiałe ściany lata się płytami piłnolowymi, ale i tak woda deszczowa przecieka, mróz też bez trudu przedostaje się do wnętrza. Na jednego ucznia przypada znacznie poniżej pół metra powierzchni sali lekcyjnej, a do celów rekreacyjnych w dni deszczowe służy 24-metrowy korytarz. Szkoła liczy 280 uczniów.

Z lekcji dzieci często wychodzą, gdyż zaduch powoduje zawroty i bóle głowy. Kierownik szkoły gromadzi pomoce naukowe, nieodzowne dla nauczania w zreformowanej 8-klasowej szkole podstawowej, lecz w tych warunkach nie można z nich korzystać. Pytałem kierownika, w jaki sposób nauczyciele wykorzystują przeszłość wsi w nauczaniu historii czy też na lekcjach wychowania obywatelskiego. Może nie dostyżał mojego pytania, bo przedstawił mi swoje wyczerpujące zawartości dwulitrenku węgla w salach lekcyjnych.

A czy spróchniałe drewno utrzyma ciężar dachu; kiedyś był kryty gontem, podczas robót adaptacyjnych na gonty położono jeszcze dachówkę. Groźby zawalenia nie mę...

tym opowiadano, jeden z rozmówców westchnął: „A zapowiadało się, że będzie nowa szkoła”. Ta aluzja na moment sprowadziła odprężenie, ale rzeczywistość nie sprzyja żartom.

Wieś zadeklarowała 300 tys. złotych; za tę sumę — uzupełnioną dotacją państwową na popieranie czynów społecznych — prawdopodobnie powstanie dom ludowy. Na zbudowanie szkoły trzeba około 1,5 mln złotych; taki wydatek przekracza możliwości mieszkańców wsi. Z inwestycji publicznych prawdopodobnie Rzeczyca otrzyma wkrótce obelisk z krzyżem partyzanckim dla upamiętnienia walk z hitlerowcami. Projekt i kosztorys jest już zatwierdzony.

I na tym właściwie można by zakończyć relację z pobytu w partyzanckiej wsi, ale skrótkowo tylko przedstawiona skarga jej mieszkańców ma znacznie szerszy aspekt. Nie będę komentował ciągłe zmienianej decyzji władz, obiecań, których niedotrzymywanie naraża na szwank prestiż nie tylko organu wykonawczego...

Przykład Rzeczy Długiej jeszcze raz przypomina o nierównomiernym rozwoju szkolnictwa, co pociąga za sobą poważne konsekwencje społeczne. Równy start młodzieży jest nadal postulatem. Zagadnienia tego nie będę rozwijał, już niejednokrotnie o nim pisałem, ostatnio — informując o przebiegu plenum Komitetu Wojewódzkiego Partii, które m. in. zaleciło dokonanie poważnych zmian w polityce inwestycyjnej dla potrzeb szkolnictwa.

Dopóki będą takie szkoły jak w Rzeczy, dopóty trzeba przypominać, że w wielu wypadkach, przynajmniej fundusze nie uwzględniano hierarchii potrzeb. Kosztem wielu milionów złotych wnoszono obietnicę na wyrost, a decyzje te nie rzadko uzasadniano właśnie przeszłością danej miejscowości, czasem odpowiednio podretuszowaną. W tym kontekście sprawa Rzeczy Długiej nabiera zupełnie innej wymowy. W tej wsi powinna już dawno stanąć szkoła — pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego lmieniem np. czynu partyzanckiego lub partyzanckiego braterstwa broni. A może szkoła powinna nosić imię któregoś z oddziałów walczącego w lasach lipskich.

I jeszcze jedno. Nazwałem Zasianie sławnym. Chodzi mi o niedorozwój gospodarczy terenów położonych za Sanem. Zafocianie gospodarcze przynosi konsekwencje społeczne i kulturalne, które jaskrawo uwidaczniają się na przykładzie szkolnictwa czy odsetku młodzieży kontynuującej naukę na poziomie średnim; jest on bardzo niski, a z niejednej wsi tylko jednostki zdobywają wykształcenie.

Zasianie, jako odrębny problem rzadko kiedy staje na porządku dnia, gdyż nie stanowi jakiegos jednolitego zwartego terytorium. Podzielone granicami powiatów, zatracą ostrość spraw gospodarczych i społecznych. Rzeczyca, z uwagi na jej przeszłość, jest przykładem szczególnym, lecz sytuację tej wsi trzeba rozpatrywać również w aspekcie niedorozwoju wschodnich regionów Rzeszowszczyzny.

TEATR NIE TYLKO DLA DZIECI



Fot. M. KOPEC

Premiera najnowszej pozycji repertuarowej Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” w Rzeszowie („Stara baśń” Kraszewskiego w adaptacji Marii Siedmiograj) miała wyjątkowo uroczysty charakter. Przybyli na nią m. in. naczelnik sekcji teatrów lalki Ministerstwa Kultury i Sztuki — mgr Henryk Jurkowski oraz członek Zarządu polskiego ośrodka Międzynarodowej Unii Teatrów Lalek „Polunima” — red. Ryszard Stachnik, który po zakończeniu widowiska wręczył trzynastu dyplomów uznania dla organizatorów oraz aktorów-pionierów tego teatru.

Korzystając z okazji prosiłmy red. Ryszarda Stachnika (n. b. przed laty członka zespołu redakcyjnego naszego pisma) o wypowiedź na kilka tematów związanych z tym uroczystym dniem rzeszowskiego teatru lalki.

— **Przed wszystkim komu zostały wręczone dyplomy?**

— Dla Waszego sympatycznego zespołu przyznaliśmy chyba rekordową ilość dyplomów w kraju. Otrzymali je: dyrektorka; kierowniczka artystyczna, a jednocześnie współorganizatorka tego teatru — Maria Siedmiograj, reżyser Stefan Stojakowski; scenograf Jerzy Radwanek; kierownik muzyczny Marian Klimczak; kierowniczka teatralnej pracowni Romana Stojakowska, współorganizatorka „Kacperka” (dziś już nie pracująca w tym teatrze) Izabela Melńska; elektryk Edward Balicki, oraz 5-osobowa grupa mających długoletnie doświadczenie i osiągnięcia — aktorów-lalkarzy: Emilia Umińska, Alojzy Błaszkiwicz, Tadeusz Czwakiel, Michał Walaszek i Tadeusz Włazelek, a także publicysta „Nowin Rzeszowskich” red. Adam Potasz.

— **Jakie są i będą osiągnięcia i perspektywy rozwoju teatru lalki w Polsce?**

— Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem krótko... ogromne!

Świadczą o tym stanowczo za mało w prasie spularyzowane międzynarodowe sukcesy polskich teatrów lalkowych. W świecie często mówi się (i pisze się) z entuzjazmem o „polskim stylu”, który zresztą tu i ówdzie znajduje naśladowców i kontynuatorów. Warto może przy okazji sprowadzić błędne opinie, że teatr lalki jest zastrzeżony wyłącznie dla dzieci. Widziałem w tych teatrach kilka, zresztą znakomitych widowisk, na które dla nieletnich wstęp był wzbroniony; najciekawszymi dla mnie inscenizacjami „Snu nocy letniej” (widziałem ich kilkanaście) były propozycje sceniczne budapeszteńskiego teatru lalki i chyba najbardziej „rewolucyjnego” reżysera polskich teatrów lalki i aktora — Jana Dormana. Zresztą o bogatej skali poszukiwań środków wyrazu świadczyły również przebieg świetnie zorganizowanych w Przemyślu poprzednich Spotkań Teatrów Lalek Polski Wschodniej.

— **Może jeszcze kilka słów na temat oglądanej w Rzeszowie „Starej baśni”?**

— Trudno byłoby tu w kilku słowach zanalizować ambitny wysiłek teatru. Można byłoby polemizować z koncepcjami — adaptacyjną i reżyserską, ale chyba najważniejsze jest to, iż na konkretne zamówienie społeczne władz szkolnych, opracowano pożyteczną dla młodej widowni pozycję ściśle związaną tematycznie z obchodami naszego Tysiąclecia. Na uznanie zasługuje efekt pracy naprawdę utalentowanego i młodzieńczo ambitnego zespołu aktorskiego, z którego tym razem wyróżniłbym przede wszystkim Alojzego Błaszkiwicza oraz Emilię Umińską, Zytę Czechowską, Michała Walaszka i Ryszarda Szelestele. W sumie było to ambitne i raczej czytelne przedstawienie widowiskowe. Rozważałem... (całkiem).
STEFAN WARS



„Równy start młodzieży jest nadal postulatem”.

Fot. T. RADECKI

Krystyna Świerczewska

Właściwy sens turystyki polega na cudownej przyjemności swobodnego wyboru miejsc, które się chce zobaczyć, folderów, które się chce przeczytać, ludzi, których się chce poznać. Jeżeli ów wybór dokonuje się poza mną; o miejscach decydują inni, a ludzi nie ma czasu poznać — wtedy, najczęściej, rezygnuję z możliwości zwiedzania. I tak zrezygnowałam kiedyś z 8 dni Paryża, które proponował swoim ewentualnym nabywcom „Orbis”, bo niezdolna mi się wydawała wycieczka do Folies Bergeres w czasie, kiedy Jean Louis Barrault zadziwiał świat inscenizacjami Ionesco; bo być we Francji i nie zobaczyć Reims, Chartres, nie pować normandzkich jabłek, zapachu calvadosu, nie popatrzyć na arlezyjskie słońce, nie podumać wśród wysokich sosen bordoskich landów — to znaczyło dla mnie dalej nie poznać kraju, w dalszym ciągu żyć wyobrażeniami o nim, bez możliwości najważniejszej — ich konfrontacji z rzeczywistością.

Ale kiedyś przychodził moment załamania: rezygnuję się z upodobań, z wszechstronnego, powolnego poznawania tego, co dla człowieka pasjonujące i poddając się wszelkim narzuconym rygorom, jedzie się gdzieś w świat, by go pować, zachłannie nagromadzić w sobie, a jedyną pomocą staje się zdolność szybkiej percepcji, łapczy-



we chwytanie nastrojów, wrażeń, ulotnych spotkań, zdolność oka w przyswajaniu barw, lisa inteligencja budowania całości z fragmentów pejzaży, dochodzenie do hipotetycznych syntez (co w gruncie rzeczy jest tak subiektywne i własne, że strach to ogłaszać publicznie). No i naturalnie stajemy się wtedy turystami jednodniowymi, a uczciwość nakazuje nam w późniejszych relacjach pisać nie to, co wiemy, ale to tylko, co widzieliśmy.

Jest wszakże jedna strona takiej

turystyki zbiorowej wielce pożyteczna: poznajemy siebie, sprawdzamy się w jakiś sposób w zbiorowości; miast pasjonować się Duńczykiem czy Norwegiem — pasjonujemy się rodaczką i rodakiem, który z jemu znanych tylko powodów wybrał wycieczkę na fiordy. Trochę to bezwstydne zajęcie takie podglądanie bliźnich, ale cóż można robić, jeśli wokół rozlane morze usypia jednostajnością pejzaży, mewy wrzeszczą, omal nie ślądając na leżakach, a ludzie rozlewni opalają się i... gadają, gadają, gadają, co najmniej tak, jak Pan Młody w „Weselu”?

Lekarka ze Szczecina pozuje do

Jednodniowi turyści

dyńie i brązowym sombrero, nieczuły na upał, pogardliwie obraca się tyłem, zasłania mi słońce i filmuje tę balę, po której piyemy.

— Zostaw pan film na balwan — mruczy jakiś dowiecpiński z boku i znowu cały pokład chichocze, zachwycony, że coś się dzieje, że może się pokłócić...

W barze „Lido” na łodziowym pokładzie barman — gentleman, jak z filmu o zgniłym zachodzie, jednostajnym gestem potrząsa shakerem, w którym bulgocze krynicka woda mineralna po 7 złotych butelka z obrzydliwym sokiem (jedno z naprawdę niewielu paskudztw gastronomicznych na „Batorym”) i

slaw — steward jadalniany, do-cenika biologii śpiąca obok zieleninowa z ilości pokłniętych aviomarinów, szklanki zawieszona na metalowych wichajstrach dzwoniły jak sygnatury wielu kościołów, a poczciwy oficer rozrywkowy „Batorego” (coż za funkcja!) — Kulm zapraszał w salonie do „Mata Jonesa” i „kuli śnieżnej”, czyli tańców zapoznawczych.

Na pokładzie C — w najniższych położonych kabinach było gorąco jak w piecu, a gdzieś tam jeszcze niżej trzej drukarze „Batorego” przygotowywali ozdobnie wydawane menu na jutro z napisem 27 września — Kopenhaga. Obok pracowała piekarnia (codziennie wyrzucająca ze swoich palenisk 2 tysiące bułek), 200 stewardów hote-

wane przeliczenia złotych na korony, koron na dolary, dolarów na polskie i właściwie żal mi było spraconej pani, która z obiedem w oku przygnala ze swetrem za 2 tysiące złotych. Psychoza? Dowód głupoty? Złego smaku? Olśnienia?

— Nie wiem na pewno, ale podejrzuje, że ewokuje tę niedobrą atmosferę nasz skromny ponad miarę budżet turysty, który przyjeżdża do kraju po podróży, bądź co bądź egzotycznej, z pustymi rękoma, uzupełniając braki w upominkach wyrobami gdyńskiej Cepelii... Podejrzuje, że kultura polskiego turysty stoi pod poważnym znakiem zapytania, że jego wiedza o świecie sprządza się w lwiej części do podziwu nad cudzoziemskim dobrobytem; mniej nad cudzoziemskim obyczajem, a zupełnie mało — nad urodą kraju zwiedzanego.

I żenują mnie takie momenty, kiedy matka z córką obok zachowanych szczątków materii z wikingowych statków, chichocząc, rozkłada dopiero co nabyte własne szmatki; kiedy w kopenhaskiego fotografa, który okazał się Polakiem, do tego dość sceptycznie ustawionym wobec naszej rzeczywistości, profesorka uniwersytetu nagle zapomina o swojej niebagatelnej wiedzy oraz szacunku otoczenia, wymienia adresy, informuje o swoim stanowisku, mizdrzy się nieprzyjemnie do faceta, któremu zaledwie udało się zrobić trochę pieniędzy, a w głębi ducha pozostał prostakiem, mówiącym grubiaństwem o rodakach z kraju, wyszydającym ich turystyczne ubóstwo.

W powodzi tych negatywnych spostrzeżeń turysty jednodniowego, które zresztą błędna i rozpylająca się w urodzie poznawanych krajów, nie ominęło mnie nawet to, jakie przecież nie musiało się wcale zdarzyć.

Gdy wynurzył się przed nami w powrotnej drodze Kronberg — szekspirowskie tło do „Hamleta”, owinięty mgłami, zabłysnął blankami wień i sprowadził na mnie pierwsze rozczarowanie, że wcale nie góruje nad otoczeniem, ale na niewielkim wzniesieniu cypla wysuniętego w morze drzemie płasko w swojej chwale — na wyludnionym pokładzie, w ponure popołudnie nie było wielu chętnych do kontemplowania tego zjawiska. W mgłę, smutek każdego powrotu, strzępy wielkiej poezji wdario się nagle pytanie:

— A co to takie ten Elsynor, z czego to słyne?

— Z maszynek do mięsa pod tytułem „Hamlet” — rąbałam.

— Aaa — westchnęło babsko, którego nagle zrobiło mi się żal, gdy spojrzalam w okragle oczy rozszerzone zdumieniem i niewiedzą. Toteż zawstydzona nieco własnym chamstwem, które zresztą było też prawdą, bo faktycznie w Elsynorze produkuje się owe maszynki „Hamlet”, spróbowałam opowiedzieć babsku o Szekspirze, opowiedzieć sztuce.

— No tak — skonkludowała energicznie — maszynki to nawet pasują do tej jatki...

— Sowa — córka piekarza — zaskięłam brzydkiem, po hamletowsku i uciekając w drugi koniec pokładu z żalnością naiwnej patrzalam, jak chowa się Elsynor za opasie zbiorniki oleju, kominy fabryczne, przesła dźwigów wielkiego portu Helsingor, który żerując na szekspirowskich motywach produkuje żelastwo hamletowe, uprawia wielką turystykę — organizując przy jej pomocy dobrobyt.

A później, kiedy już przetolała to paskudztwo, wrzucałam złotówkę do wód Sundu, by kiedyś wrócić i o ile to możliwe — bez sów — córki piekarzy...

SOWA — CÓRKA PIEKARZA

zdjęcia dziwnego zaiste: jej nieco kocia twarz odbija się w wielkich okularach młodego Czecha i właśnie te okulary filmuje kolorową kamerą inny młody człowiek; potem rozmawiają o pracy w szpitalu, tzn. ona gada, Czesi słuchają u przejmie, a ja mam prawo wątpić, czy coś z tego wiedzą. Nad głową huzy megafon, że jesteśmy na Morzu Północnym, ktoś przypomina,

wyczekuje na klientów; ruchliwy tupeciarz — kolega z turystycznego baru, który nie wiadomo czemu nazywa się „Amerykański”, informuje swoich klientów, że Lido-bar, to w normalnym rejsie Widmo-bar, najdroższy, przeznaczony dla elity dolarowej, gdzie królują pustka, cisza i dwóch, no powiedzmy trzech (dodają dla uczciwości) trzeźwych facetów w intelektual-

lowych, 60 jadalnianych oraz kucharz zaczynający niemal od dziecka swój zawód i od 30 lat niezmiennie kierujący słynną strawą „Batorego”; czuwały nowoczesne urządzenia radarowe, czuwała radiostacja, zapewniająca łączność z całym światem. Nad światem zaś marynarze myli mokre, czyste jak lza pokłady, rozkładali leżaki i... znikali, jak duchy, bo że to widziana rzecz, by marynarze płątali się między turystami.

I dopiero wtedy wysuwała się powoli masa 820 pasażerów rozpoczynając dyskusję o kopenhaskich swetrach, Thornvaldsenie, Tivoli i specjalach śniadaniowych.

A później była prawdziwa turystyka jednodniowa: to znaczy ci, co wiedzieli, że trzeba wcześniej lyknać porcję wiedzy, zdecydowanie parli naprzód, świadomi rozkoszy poznanych za chwilę obiektów; inni — mniej przewidujący białali; — Wysadźcie na zakupy, bo to sobota, sklepy zamykają...

Przy 17 autokarach — wieża Babel i żarliwe:

— Gdzie przewodnik francuski? Angielski? Niemiecki? Panie, gdzie tu jaki magazyn? Czy norweskie korony idą? Ile kosztuje tramwaj? Czy daleko do Elsynoru? Po ile pocztówki? Co to Tivoli? Ludzie, nie pechajcie się!

— A mówią, że turystyka to rozrywka tania i zdrowa — wygłosił ktoś ironicznie i bardzo w porę.

I wtedy ci wszyscy bliźni, tak bardzo zaczęli mi przeszkadzać, tak gwałtownie zapragnęłam ich nieobecności, że nieporna na zebrać budzet pognalam w miasto na ośle, namiętnie spragniona samotnego smakowania nieznanym miejsc. Zawarłam sojus z Kopenhagą, jej kanałami, zielenią, przeknęłam pospiesznie parówkę w Tivoli w miejsce wystawnego obiadu na „Batorym” i za cenę tej rozkosznej samotności wybaczyłam innym wszystko. Zresztą nie ja jedna. W Trondheim przeczornie pomknęłam najpierw do katedry, omijając sklepy, w których zapanował na parę godzin niepodzielnie język nasz ojczysty; w Oslo, zduszona problemami współplemieńców, zgubiłam się tylko w Kon-Tiki i ze stoickim spokojem zniosłam uraganie całego autobusu, że się nie pilnuje.

A później już niezwykle uprzejmie słuchałam o nieszczęsnym zwycięstwie zamykania sklepów o 5 popołudniu, chwalałam haftowane bluzki, wdawałam się w skompliko-

że sztormy nie należą tu do przyjemnych, ktoś zaraz lykka Aviomarin — inny protestuje, że tylko aspiryna i kielich, jeszcze inny póżera kanapkę wiekości jaśka, gdzie miał pierza pozorze pomieszczał wszystkie specjalja, jakimi częstuje nas kucharz „Batorego”. Słońce. Chwila ciszy.

Pani w różowitkiem biustonoszu i czarnych majtkach filuternie mruży oko do dyrektora jednej ze śląskich kopalń, który zdążył już powiadomić o swym stanowisku w kraju cały pokład; facet w gabar-

nej rozmowie z barmanem — gentlemanem.

Zal mi nieco zmarnowanego życia tegoż, nie zazdroścąc kumpli — szycerów i w głębi duszy mam sporo dlań sympatii, bo właśnie on w pierwszą sztormową noc, kiedy nikt pewnie nie czuł się za dobrze, z wielkopańskim gestem podsunął mi kieliszczyk jakiegos amerykańskiego paskudztwa za dolary (a więc nie dla nas — turystów przeznaczanego), twierdząc, że tylko ono likwiduje skutki wszystkich sztormów świata. Poparte później polskim winiakiem, polską orzechówką i eksportowym jarzębiakiem — faktycznie zlikwidowało i noc zaliczyłam do przyjemnych...

A „Batory” wtedy trzeszczał jak stara beczka, z kabiny na rufie, którą zajmowałam, morze wyglądało odrobnie nieprzyjemnie, żółdądek rozpięły mi sosy z tysiąca wysp i ciężkie pasztety, bo tak trzeba — dowodził uroczy pan Cze-

POLONICA KULTURALNE

KSIĄŻKA O POLSCE WICZO IWANOWA

Nakładem wydawnictwa „Bylgarski Pisatel” ukazała się książka Wiczo Iwanowa „Pod niebem Polski”. Autor przebywał w ciągu kilku lat w Warszawie jako dyrektor Bułgarskiego Ośrodka Kulturalnego, poznał dobrze nasz kraj, zawarł wiele serdecznych przyjaźni z pisarzami i ludźmi sztuki. W książce znajdującej fragmenty poświęcone jego spotkaniom z Władysławem Broniewskim, Leonem Kruczkowskim, Xawerym Dunikowskim, Marią Dąbrowską, Jarosławem Iwaszkiewiczem. „Pod niebem Polski” cechuje doskonała znajomość naszej historii i kultury oraz uczucie przyjaźni do naszego narodu.

DNI FILMU POLSKIEGO W ZSRR

Setki moskiewskich kinomanów gromadziły się przed kasami kina „Udarnik”, pragnąc zdobyć bilety na premierę „Faraona”. Uroczysty pokaz tego filmu zainaugurował Dni Filmu Polskiego w ZSRR. Program przeglądu obejmuje ponadto pokazy „Popiołów”, „Barw walki” i „Wystrzału”.

Oprócz twórców „Popiołów” — Jerzego Kawalerowicza i „Barw walki” — Jerzego Passendorfera przybyli do ZSRR aktorzy: Lucyna Winnicka, Alicja Sedzińska, Krystyna Mikołajewska i Tadeusz Schmidt. Na premierze powitał polskich artystów Grigorij Czuchraj, nazywając ich „starymi, wypróbowanymi towa-

rzyskami w walce o socjalistyczną sztukę”. Delegacja odwiedziła ponadto Rygę, Wilno, Kijów.

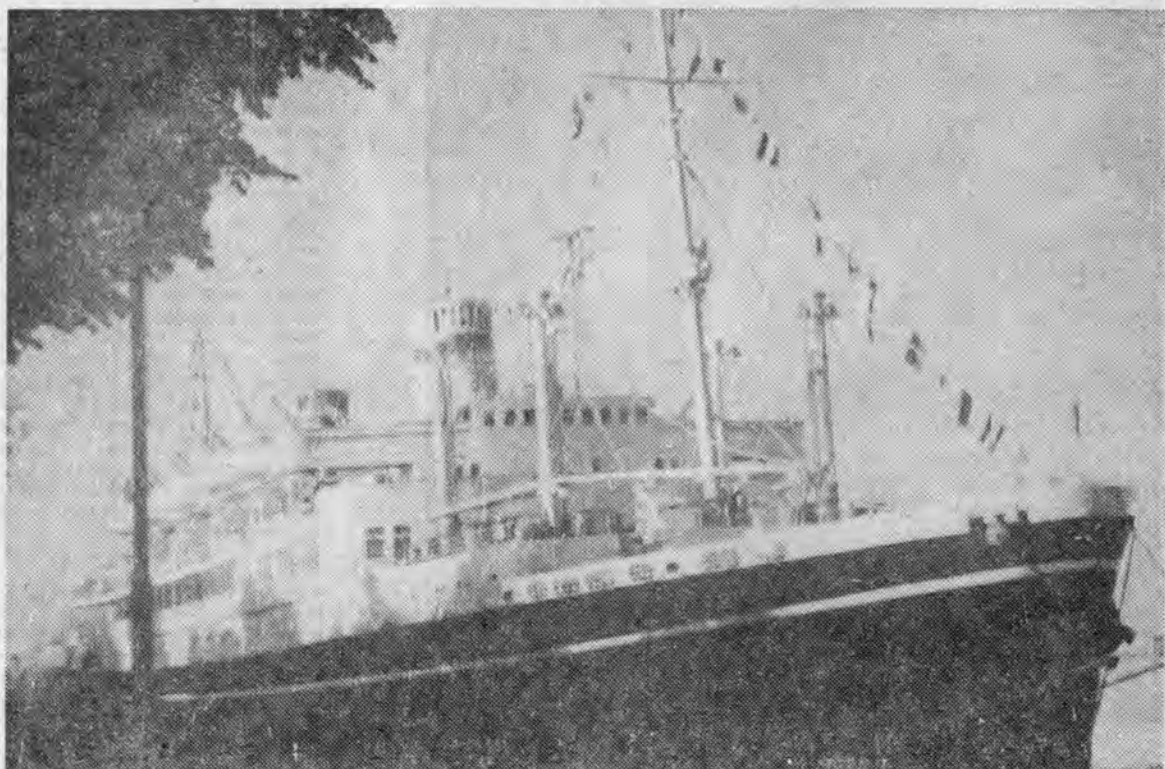
Z okazji „Dni” tygodnik „Sowiet-skoje kino” zamieścił wywiad z wiceministrem Kultury i Sztuki PRL Tadeuszem Zaorskim.

POLSKIE SZTUKI NA SCENACH RADZIECKICH

Jak informuje miesięcznik „Teatr”, sztuka T. Kożuszniaka „Biuro dobrych usług” należała do najczęściej grywanych utworów na scenach radzieckich w 1965 r. Sztukę tę wystawiły 52 teatry, a ogólna liczba spektakli wyniosła 2018. Pod względem liczby przedstawień „Biuro” zajmuje czwarte miejsce. Ciągłe dużym powodzeniem cieszą się komedie Fredry: „Damy i huzy”, grane były 515 razy na scenach 15 teatrów, a „Małż i żona” 131 w dwu teatrach. „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej miała 353 spektakle w 15 teatrach. Sztukę „Uczeń czarnoksiężnika”, W. Żółkiewskiej i S. Bugajskiej grały 4 teatry (171 spektakli).

O WROCLAWSKIEJ PANTOMIMIE W DANII

Zespół pantomimy wrocławskiej, przebywający ostatnio w Danii, dał cztery przedstawienia w Kopenhagie i w Holstebro na Jutlandii. Występy przyjęte były niezwykle ciepło przez publiczność i krytykę. Do spopularyzowania występów polskich artystów przyczyniła się również telewizja duńska. Pantomima wrocławska odwiedziła Danię już po raz trzeci.



ADAM JANUSZ BIEN

JASKRAWY OBRAZ

— My nie są stąd — mówiła pani Klińczykowa, gdy któryś z rzędu kieliszek czystej wódki sprawiał, że jej policzki czerwieniały nagle, jakby przy piecu siedziała. — My tu dopiero jedenaście lat. — Wypijała wódkę i patrzyła w okno, za którym ciągnęła się ulica zbudowana z jednakowych pudełek: wielkich bloków prostokątnych, pociętych otworami drzwi, patrząc na te domy i ogródki, gdzie bawiły się dzieci grzebiąc w piaskownicy i zjeżdżając na tyłku z takich ślizgawek — pochylini zro-



Rys. J. SIENKIEWICZ

zonych specjalnie dla ich przyjemności — pani Klińczykowa zaczynała nucić. Naprawdę cicho, cichutko... a potem coraz głośniejsze, przekrzykując nawet telewizor sąsiadów, bo w takich wypadkach ich aparat milczał. Wyłączony zostawał na tę chwilę uroczystą, kiedy na stole kuchennym pojawiała się wódka, a pan Klińczyk, rozochocony nieco, napełniał sobie kieliszek, mrucząc pod nosem:

— Śpiewaj, stara, śpiewaj, niech się dowiem, jak to było u was, bo ja też nietulejszy, ale tamtych stron nie znam.

Pani Klińczykowej nie trzeba było zachęcać. Sama wiedziała, co ma robić, ale, ucieszona mężowską uwagą, nabierała wtedy śmiałości i ciągnęła głosem cieniutkim tę piosenkę, co ją śpiewali nad rzeką w czasie pasania krów na łąkach przybrzeżnych, lub jesienią, gdy dym ognisk snuł się nad półokrytymi trawami, a pieczone ziemniaki parzyły usta.

— Ładnie — mówił Klińczyk i kiwał głową, i lał wódkę do kieliszków; później zaś po wypiciu kilku następnych kolejek ogarniało go roztkliwienie wielkie i wołał synka. — Juruś, ej mały, gdzieśś wiazi?

Juruś, patrząc spode łba, zjawiał się w kuchni, niechętnie przystępując do ojca.

— Czego?

— Posłuchaj se, jak mama śpiewa... — Nie chce mi się — mówił Juruś.

— Wolę film. — Biegł do pokoju, w którym dwie jego siostry oglądały program rozrywkowy siedząc na krzeselkach przed telewizorem, albo wpisywały do grubych brulionów modne piosenki z kolorowych tygodników.

Wtedy Klińczyk klepał po kolanach Klińczykówny i mówił:

— Widzisz, stara, dzieci już całkiem inne, uczone, bardziej miejscie...

— A czy to źle?

— Że źle, nie powiedziałem. Mówię tylko, że inne są od nas.

Klińczykowa przyznawała mu rację.

— W tym względzie masz słusność, Antos.

— Ale śpiewać już nie chciała. Uparła się i za nic ją nie namówisz. Co się Klińczyk naprosił, co się nazłosił czasami, a ona uparta.

— Nie — mówi — już nie trzeba, wystarczy tego co było, nasi sąsiedzi niezadowoleni zapewne, że spać im nie dajemy po nocy. — Mówiąc to spoglądała w stronę okna, za którym ciemno się robiło. Żółte lampy tylko błyskały, takie lampy na wysokich słupach sięgających prawie drugiego piętra albo wyżej. Klińczykowa patrzyła na te światła uliczne, wzdychała żałośnie.

Mąż obserwował ją uważnie.

— Co ci to... — pytał ciekawie. — Choraś?

— Nie, Antos. Omyliłeś się w tym względzie, bo nic mi nie dolega.

— To czego jęczysz?

Klińczykowa zamiast mu odpowiedzieć, wzdychała jeszcze żałośniej.

Wtedy Antosiem Klińczykiem targal niepokój. Patrzył na żonę podejrzliwie i złowrogo. Przychodziło mu bowiem do głowy to wszystko, co koledzy na szybcie opowiadali: my na zmianę — mówili — a one do łóżka i z frantem jakimś się gizia, cholery. Bloki teraz takie budują, że po balkonach chodzą, bo się balkon z balkonem styka, drzwi zatem nie skrzypią i nawet nie powie ci kamrat z naprzeciwka, że wdział tu jakiegoś, co od twojej smykał się nocą przez korytarz...

Zgrzytał zębami Antos Klińczyk. Wypijał tę kapkę, która została na dnie butelki i widząc, że jego żona wciąż na te lampy patrzy, wzdychając bez przerwy, jakby za gachem tęskniła — walił ją bez słowa w głowę. — Abyś głupich myśli nie miała — szeptał sam do siebie i tuki zapamiętało, że aż dudniło.

Niekiedy udawało się Klińczykowej uniknąć mężowskiego ciosu. Biegała wówczas po tych trzech pokojach z centralnym ogrzewaniem, co je mieli, i wzywała ratunku, który znikąd nie nadchodził, bo wszyscy w bloku znali już Klińczyka i wiedzieli, że od czasu do czasu urządza on awantury. Na początku ktoś próbował go powstrzymać, tłumaczył mu, że tak nie wolno, że ciższa nocna obowiązują od godziny dwudziestej drugiej, ale Klińczykowi przeleciało to obok uszu, chłop ręką tylko machnął i tamten się przewrócił, zapamiętując to sobie doskonale, bo więcej nie zachodził już do Klińczyków, pozwalając im klócić się do woli.

Po takiej awanturze Antos Klińczyk był jak struty. Piwa do ust nie brał, milczał, Klińczykowej w oczy nie patrzył i do sublokatora jedynie zaglądał, zwracając mu się szczerze, iż wszystkiemu winna jest gorzka przekała. Żałował ogromnie, że sublokatora wtedy w domu nie było, bo on by go na pewno posłuchał i nie zbilby żony, a sublokator głową kiwając i przytakując słowom Klińczyka, śmiał się w duchu z jego głupoty wielkiej i myślał: żebyście się nawet pozabijali, to palcem nie kiwnę, z miejsca się nie ruszę, gazetę będę sobie czytał spokojnie, kiedy będziecie się mordować. bo mam już tego dość: was

wszystkich razem z tą kurą w łaźnicy, z piecykiem gazowym wyłączonym dla oszczędności, z lodowatą wodą, w której muszę się myć codziennie, z waszymi łóżkami małżeńskimi i z telewizorem ryczącym na cały regulator, i z tym przeklętym obrazem, który doprowadził mnie kiedyś do szaleństwa!

Na tym obrazie przedstawiona jest martwa natura jaskrawymi farbami malowana. Sublokator nie lubi tego obrazu, ale pani Klińczykowa odmienne ma o nim zdanie, dumna jest bardzo z niego i nigdy nie zapomni pochwalić się sublokatorowi, że to jej prezent ślubny.

— Dostałam go od chrzestnej jeszcze wtedy, kiedy młoda byłam i mieszkaliśmy tam, nad rzeką, a mój stary nie pił tak dużo.

Pani Klińczykowa uśmiechając się do swoich myśli czyści obraz elektrycznym odkurzaczem, pucuje go na glanc, aby świecił jak lustro, aby lśnił; kiedy zaś obraz bliższy już jak należy, kiedy pyłku najmniejszego na nim nie dojrzy, pani Klińczykowa siada sobie na krzeselku i z zachwytem na obraz spogląda: na te czerwone tulipany wyglądające jak żywe, bo je chyba malarz własną krwią malował, na tę zieleń kapuściana i na wazon kryształowy, sztywny trochę, kanciasty, jakby z drutu zrobiony, ale to tylko tak się wydaje na pierwszy rzut oka, gdyż on kryształowy był na pewno, pani Klińczykowa pamięta dobrze i pamięta również, iż malarz, co robił ten obraz, innej farby w sklepie nie dostał i dlatego lakierem sobie pomógł, sprawiając z rezultatem, że wazon gorzej nieco wypadł od innych rzeczy.

Sublokator zgadza się z jej opinią i nie ma żadnych wątpliwości.

— Tak — mówi. — Ma pani rację, pani Klińczykówna, to widać, że mu ręka drgnęła, kiedy ten kryształ lakierem przedstawiał, ale ciekawi mnie bardzo, dlaczego pani nie weźmie obrazu do swego pokoju, przecież lepiej byłoby i przyjemniej, gdyby pani mogła patrzeć nań ciągle i zawsze, każdego dnia o każdej porze...

— Mogłabym — zgadza się Klińczykowa. — Pewnie, że mogłabym.

— To dlaczego pani się jeszcze waha, pani Klińczykówna?

— Bo się boję.

— Co? Pani mówi, że się pani boi... A czego tu się bać, pani Klińczykówna? Wspomnieć...

— Jakich wspomnień? — dziwi się kobieta. — Co pan ma na myśli, nie rozumiem. Ja, proszę pana, boję się tylko swojego Antosa, bo wie pan, jaki on jest, butem rzucił w szkło i zniszczył, ramy się rozleca. Dlatego trzymam obraz u pana, bo wiem, że on tutaj bezpieczny, a ja go od chrzestnej dostałam, to moja pamiętka taka, którą ze sobą wzięłam na to swoje życie... Klińczykowa odwraca głowę. — Na to życie nieszcześnie — mówi, ale trochę ciszej, niż przedtem i spogląda przez okno na ulicę, gdzie na wysokich słupach tyle jest lamp, co gwiazd na sierpniowym niebie, a czarny asfalt wije się wśród domów, jak rzeka wśród pól.

Adam Janusz Bien



Zawsze mnie ciekawiło, jaki procent widzów telewizyjnych stanowi młodzież i co z kolei z rzeczy oglądanych akceptują, czym się pasjonują, a co przyjmują jako dopust boży. Niestety, dane statystyczne z Ośrodka Badań Opinii Publicznej — to zawsze jakaś niepełna garstka liczb, to zawsze jakies „około”, „w przybliżeniu”, jakies fragmenty zaledwie obrazu zainteresowań i zdaje mi się, że tak długo nie będzie tam pełnego rozeznania, jak długo ta arcy potrzebna placówka nie osiągnie należnej jej rangi doradcy programowego.

Dlatego z konieczności muszę się domyślać, kto szaleje z radości słysząc panią Zofię Raciborską, jak jaskuje i agatkuje (swoją drogą piękne jest to „jasku”), kto zasypia przy „Balbince”, kogo urzeka poezja dobranozna, kto majsterkuje, kto trzęsie się nad Ulą, w tym roku już z III b, (co ten Wilkowiak pocnie, kiedy dziewczyna nie chce ani rusz zamrzeć, choć przechodzi z klasy do klasy zupełnie prawidłowo). Wszystko, com tu wymieniła, to programy dla naszych małoletków, które dopiero co zaczynają czytać i pisać, jeszcze żywo reagują na każdy prosty dowcip, a wybredność gustu jeszcze im nieznaną. To wszystko zatem jest dla pierwszej grupy wtaimnionych; później jest dłużej, dłużej nie i idzie spektakl środowy teatru jednego aktora, gdzie monodramy, grywane przez dobrych i znanych, dość często stanowią rozrywkę dla dorosłych — tak są trudnoscierne dla młodego widza, tak ciężko mu siedzieć wielowłokowe wyznania, które bardziej przypominają czytanie odcinka powieściowego niżeli teatr; i jeszcze później jest klub „Po zstępie”, który oglądam z większą przyjemnością na pewno ja niżeli czternastolatek i rzecz jest zresztą nie o nim pomyślana, ale co najmniej o maturzystach.

I cóż tedy robi trzynasto, czternastolatek? Ogląda Kildarów, rozpłakany, gdy ulubieniec zmienia specjalizację i pod gołym niebem odbiera poród, a spiker ustala granicę o-wych nieszczęsnych 16 lat, drży z emocji, kiedy Baron wali po gębach przeciwników, choruje nagle, kiedy przedpołudnia sobotnie ilustrują jak dojsz do Teksasu i co ma robić cowboy, gdy został sam i... wspomina. Wspomina Zorro, Bonanzę, Świętego, Wojnę domową, nawet Sowę, który zresztą był od początku, biorąc naturalnie pod uwagę stopień trudności intelektualnych, dla niego przeznaczony.

Ma jeszcze naturalnie parę filmików seryjnych, często niestety, pod pozorem; ma „Klub pod Smokiem” na pewno na poziomie, inspirowany inteligentnie przez Czesława Kruszelnickiego z Krakowa, ale za to z częstotliwością tak rzadką, że żadnego nawyku oglądania wyrobić ona nie może.

Dlatego z tym większą pasją rzucają się wszyscy średniacy szkolni na nowy serial „Cztery pancerni i pies”, reżyserowany przez Konrada Nałęckiego według scenariusza autora książki o tym samym tytule — pika Janusza Przymanowskiego.

Bo czymże jest ten serial? Na pewno czymś pośrednim między przygodą a wojną, między westernem a „Kryzyskami”, między Baronem a Szwajkiem. Ot, tacy sobie nowi reżyserzy — muszkietierowie z d’Artagnanem, którzy zmienili uzbrojenie, nie zmieniając zasad przyjaźni i postępowania według identycznych staroswieckich zasad, „jeden za czterech” oraz vice versa, kochają zwierzęta i ślicznie dziewczyny; te ostatnie na tyle jednak nieszkodliwe, że żadnej jeszcze nie udało się na stałe wtargnąć w ich życie.

Idzie sobie ta opowieść bohaterka raz w tygodniu, zajmie nam dwa miesiące wspólne oglądania z młodzieżą (8 odcinków) i będzie najdłuższym filmem polskim, bo liczącym około 7,5 godziny. Idzie z początkiem. Nie nachalnie epatuje braterstwem broni, ale w dobrym stylu zmusza do zastanowienia się, co byśmy bez niego poczęli, nie pokazuje świętych polskich, ale żywych ludzi, nie pokazuje okropieństwo wojny, ale walkę, w której masz miejsce i na patriotyzm, i na odwagę, i na poczucie humoru. W ogóle wydaje mi się, że niewyszukany humor „Czterech pancernych i psa” (proszę nie mylić z piaskim humorem, ale raczej prostym, zdrowym) trafia zdecydowanie do młodych, nadaje historii ową autentyczność, na której tak bardzo zależało autorowi książki i scenariusza, pozwala na stworzenie kapitalnej postaci Gustlika — śląskiego pierona, tak znakomicie granej przez Franciszka Pieckę.

Oczywiście można mieć do „Pancernych” zastrzeżenia natury czysto filmowej; do często niezgrabnego montażu, do dłużyń, do wprowadzania niepotrzebnych sekwencji, do mieszania wątków, ale celem ich przecież jest nie atakowanie wyrobionego widza czy smakosza, tylko poinformowanie młodych o historii niedawnej i wyciągnięcie z tej historii nauki nie gorczy, lecz optymizmu. Zaś tak widziany nowy serial, utrwalaony na ponad dwunastu kilometrach taśmy, wydaje mi się zupełnie sensowny.

Krzysztof



Andrzej Perepeczko: UCIECZKA Z BRESTU. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 63, cena 4 zł.

Popularnonaukowa pozycja z serii „Miniatury Morskie”. Ciekawie ukazuje epizod z II wojny światowej na morzu, związany z bitwą o Anglę.

Czesław Piak: ZWODNICZE ŚWIATŁO. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 63, cena 4 zł.

Również tomik z serii „Miniatury Morskie”, tym razem dotyczący historii żeglugi. Opowiada o przygodach przetrwanych przez pasażerów statków na morzu.

James J. Brophy: POLPRZEWODNIK. W-wa 1966, PWN, s. 108, cena 10 zł.

Nowy tomik Wspólczesnej Biblioteki Naukowej „Omega”. Jest to naukowe, ale przystępnie podana praca uczonego amerykańskiego, który omawia znaczenie półprzewodników w rozwoju aparatury i urządzeń elektronicznych.

Laura Pytel: CO NALEŻY WIEDZIEĆ O CIAŻY, PORODZIE I POŁOGU. PZWŁ s. 115, cena 5 zł.

Poradnik przeznaczony dla kobiet, uwzględniający obok typowych i patologicznych zjawisk w tej dziedzinie zagadnienia natury prawnej oraz spraw seksualnego wychowania dzieci.

Marian Ryba: WARUNKOWE ZWOLNIENIE W POLSKIM PRAWIE KARNYM. W-wa 1966, MON, s. 181, cena 18 zł.

Operując się na badaniu spraw karnych, w których nastąpiło warunkowe zwolnienie, autor stara się dociec, jakie są tego praktyczne wyniki. Szczególnie uwzględnione tu są przepisy dotyczące skazanych przez sądy wojskowe.

Mark Twain: PRZYGODY HUCKA. W-wa 1966 Iskry, s. 220, cena 18 zł.

Powieść ta, dzieło znakomitego amerykańskiego humorysty (zmarłego w 1910 r.) jest dalszym ciągiem przygód Tomka Sa-

wyera, utworu tak dobrze znanego zarówno młodzieży, jak i starszym. Akcja omawianej powieści rozgrywa się w XIX w., jej tem są południowe stany USA, a treścią przygody białego chłopca i niewolnika Murzyna.

Thor Heyerdahl: AKU-AKU. Tajemnica Wyspy Wielkanocnej. Wyd. III W-wa 1966 Iskry, s. 432, cena 23 zł. Ilustr. Mapy.

Tem powieściowej relacji norweskiego pisarza i naukowca jest Wyspa Wielkanocna, wyspa tysiąca tajemnic, na której nikt przedtem nie prowadził prac wykopaliskowych. Jaki jest ich pion, skąd się wzięły tajemnicze obrzędy i aku-aku, mówi ta fraputacja opowieść.

Kornel Makuszyński: O DWÓCH TAKICH CO UKRADLI KSIĘŻYC. Wyd. V. W-wa 1966 Iskry, s. 251, cena 15 zł.

Opowiedziane pięknym językiem przygody Jacka i Piacka, dwóch przemysłowych chłopczyków, ilustrował Konstanty Sopoćko. Przyjemna lektura dla młodych i starszych miłośników talentu autora „Awantury o Basiu”.

Kazimierz Kąkol: SĄD NIERYCHLIWY. W-wa 1966 KiW, s. 342, cena 30 zł. Liczne ilustracje.

Autor, naczelny redaktor „Prawa i Życia” opisuje w swojej obszerniej publikacji sylwetki oskarżonych oraz przebieg procesu oprawców z Oświęcimia, który odbył się we Frankfurcie w NRF. Publikacja na czasie, przypominająca, że na wolność przebywa wielu jeszcze zbrodniarzy z okresu II wojny światowej.

Ludwik Bazylow: POLITYKA WEWNĘTRZNA CARATU I RUCHY SPOŁECZNE W ROSJI NA POCZĄTKU XX WIEKU. W-wa 1966 KiW, s. 427, cena 80 zł.

Naukowe opracowanie sytuacji w Rosji na przełomie XIX i XX w. O problemie agrarnym, narodnicztwie, ruchu robotniczym, studenci. O roli ministra Plehwego i paps Gazona.

Adam Kulik: ELEMENTY PSYCHOLOGII ODBIORU FILMU. W-wa 1966. CPARA s. 136, cena 23 zł.

Skrypt dla słuchaczy Studium Wiedzy o Filmie omawia głównie problemy percepcji filmowych środków wyrazu, problemy myślowe i przeżycia emocjonalne

pobudzone przez film. Zawiera bibliografię przedmiotu.

William Szekspir: WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DORZE KOŃCZY. Przeł. Maciej Słonczyński. W-wa 1966 PIW, s. 134, cena 13 zł.

Jedną z wielu komedii znanego angielskiego dramaturga XVII w. Temat jej szacarpłoty został z „Dekameronu”.

Janusz Osęka: KRONIKA PEWNEJ PLANETY. W-wa 1966 Iskry s. 144, cena 20 złotych.

Nowy tom z serii „Biblioteka Stańczyka”. Jest to zbiór doskonałej, błyskotliwej satyry na przyrwy współczesnego polskiego życia. Czytając, śmiejemy się zarówno z naszych wad obyczajowych jak i wynaturzeń społecznego życia, z tak dobrze nam znanej burokracji, itp.

Remigiusz Napiórkowski: DŁUGOŚĆ DNI. W-wa 1966 Mon. s. 190, cena 10 zł.

Jedenaste opowiadań, wcześniej drukowanych w prasie współczesnej.

W centrum uwagi autora pozostają przeżycia wojenne jego bohaterów i skutki, jakie w ich życiu i psychice wywołuje wojna. Na ogół są to przeżycia smutna, a bohaterowie samotni i zagubieni.

Herman Melville: BILLY BUDD. Przeł. Bronisław Zieliński. W-wa 1966 PIW, s. 128, cena 10 zł.

Tomik z serii „Biblioteka Jednorożca”. Opowieść o buncie angielskich marynarzy z roku 1797, który dał bodziec do doniosłych reform w brytyjskiej marynarce.

Ksenofont: WYBÓR PISM. Wyd. 2 zmien. Wrocław 1966 „Osmolineum” s. 440, cena 35 zł.

Grecki pisarz żyjący na przełomie V i IV w. pne pozostawił po sobie bogatą spuściznę literacką. W zbiorze znajdziemy wybór jego pism natury m. in. filozoficznej, historycznej i literackiej. Obszerny wstęp Jerzego Schnaydera.

CICHY DON. Wieczór estrady literackiej opracowany na podstawie powieści Michała Szpolochowa. W-wa 1966 CPARA s. 115, cena 24 zł.

Nowy tomik repertuarowy dla zespołów amatorskich. Tekst zaopatrzonej w wyczerpujące uwagi inscenizacyjne, wzory scenografii oraz nuty.



CO I JAK OSZCZĘDZAC

Z tablic ogłoszeniowych, parkanów i murów biją ostatnio w oczy przechodniów hasła i wezwania propagujące oszczędność. „Oszczędzaj chłopie na książeczkę na SOP-ie”, „By ci dobrze w życiu szło składaj grosz do PKO”, „Zalóż książeczkę docelową będziesz miał i to i owo” itd. Może zresztą te hasła brzmią nieco inaczej, ale wiadomo co one oznaczają — że państwownik jest miastem oszczędności, a więc i wzmoczonej propagandy wizualnej, zachęcającej do tej cnoty. Nie wiem, czy ta właśnie propaganda tak skutecznie działa, że zamieniamy się prawie w Szkotów. Uciuliśmy w PKO ponad 50 miliardów złotych. Z przyjemnością oddajemy się lekturze książeczek samochodowych, docelowych, premiowych i innych wydawanych dla szerokiego kręgu czytelników przez PKO. Mimo to w dalszym ciągu wiele pieniędzy przecieka nam przez palce. Mamy pest, lubimy się postawić i „postawić”, nieopatrznie kupujemy czasem bucie, od których oczy bieleją, wrzucamy pieniądze w błoto usiłując budować na nim wieżowce, oblewamy sownie każdą najmniejszą inwestycję — garnitur, mieszkanie, tablicę pamiątkową klub i szkołę — słowem na każdym kroku popełniamy wiele grzechów głównych przeciw oszczędności.

Zbyt często zresztą słowo oszczędzać łączy się w naszej świadomości ze słowem pieniądze. A to jest program minimum. W związku z miastem oszczędzania warto by porozmawiać hasła, które rozszerzają zakres tego pojęcia. Proponuję np. takie: „Oszczędzaj bliźnich — to czasem też ludzie”. I już wiadomo, że nie trzeba pisać anonimów, podkładać świń, mieszać z błotem, wystawiać do wiatru i kończyć współpracowników. A jeśli już do wykończenia kogoś zmuszają nas własne interesy, czytamy to humanitarnie i delikatnie bez upokarzania ofiary. Bowiem „kończ waść — wstydy oszczędź” mówi się już w

„Potopie”. Inny slogan mógłby brzmieć tak: „Oszczędzaj słów w godzinach szczytu — przemawiaj po północy”. Czyż nie wpłynęłoby to na zmniejszenie ilości „trybunogodzin”, uciulanie sporo czasu i zdrowia? A np. takie niestosownie zapomniane, a kiedyś popularne hasło: „Oszczędzając pracę żony jedz gotowe makarony”. Warto je także rozplakatować w miesiącu oszczędności. I jeszcze kilka: „Oszczędzaj swój czas i tabor MPK — nie używaj go częściej jak raz w tygodniu”, „Szkoda twego żołądka — zaoszczędzisz go unikając rzeszowskich lokali gastronomicznych”, „Oszczędzaj wazelinę — innym też potrzebna”, „Głowa może Ci się jeszcze przydać — muru nie przebijesz”. Na zakończenie propozycja optymistyczna. Szanuj swoje nerwy — jutro będzie lepiej.

Jeszcze kilka słów o metodach oszczędzania. Jak wiadomo jest ich sporo. Jedną z najstarszych to odkładanie do pończochy. Następnie trzeba wymienić oszczędzanie w kominie, w sienniku, w ogródku pod jabłonią, w kieszeni starego garnituru, w 10 tomie encyklopedii Brochhausa, czy w szufladzie z brudną bielizną. Niestety, często się zdarza, że te sposoby nie zdają egzaminu. Naszą krwawicę pochłania ogień zapalony w piecu przez niewtajemniczonego członka rodziny, zjada ją koza, lub dajemy ją przez zapomnienie żebrowi. Czasem też przekopujemy bezskutecznie ogród we wszystkich kierunkach szukając zakopanej fortunki. Uzyskujemy jedynie wyższe plony. Okazuje się więc, że metoda oszczędzania w państwowej pończosze jest najpewniejsza i najbardziej opłacalna, bo i procenty rosną, i samochód można wygrać.

Nie podejmuję się podać sposobów oszczędzania bliźnich, nerwów i czasu, gdyż każdy musi sobie wypracować własne. Jedynie wtedy będą skuteczne. Można również jako dewizę przyjąć zasadę „oszczędzaj się” byle w tym nie przesadzić. Choć trzeba przyznać, że ci oszczędzający siebie nie najgorzej na tym wychodzą.

Jedną tylko formą oszczędności się nie opłaca — ciułanie 20-dolarówek pod podłogą, tak przynajmniej mówią przykre doświadczenia niektórych naszych bliźnich. Chciałem jeszcze wysmażyć kilka moralistów okolicznościowych, lecz kolega zza biurka spojrzal krytycznie na rozmiar felietonu i rzucił we mnie hasłem „Oszczędzaj lasy — nie pisz za dużo”. I słusznie. JOTGIEL



JOZEF KANIK — zastępca kierownika Wydziału Kultury Prez. WRN w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Opowiadanie folklorystyczne

PRZEDZIAŁEK KOPYŁY

Ludzie drzewiej byli nie tacy jak teraz. Trafiali się między nimi waliigóry i wyrwidęby. Waliigóry właśnie i wyrwidęby kształtowali świat i przygotowali ziemię dla ludzkich pomniejszych. Jakby co zwyczajni ludzie bez obrzymów w życiu z trudnościami radzili? Narzekaliby na padół placu i zostali przez zwierzęta wytepleni. W czasach waliigórów i wyrwidębów powstawały drogi między ludzkimi osadami, oni to przecinali nimi nieprzebyte puszcze.

Warto wiedzieć, kto koło Pielgrzymki podzielił pięknie na pasma, bo tych pasem od początku świata przecięć nie było. Poprzez czub góry Kopyły leci szlaczek jak przedziałek na białe straszny, na którym wios stanął dęba. Ciekawość, kto tym przedziałkiem drzewiaka góry rozdzielił, ni to grzebieniem ogromnym na dwie połowy rozciął? Gadka mówi, że dokonał tego zbieżnik Sytko.

Był to harnaś nad harnasie, a siedział w murowanicy z wielkich

grani za Foluszem. Narzeczoną miał w Mrukowej. Chodził do tej wygnarnicy, Kachny silnej, przez Kopyły. Raz, gdy ze zalotów wracał, napadł go inny zbież, który też na piękną Kachnę miał chrapkę. Chcieli go od niej odszcigać. Sytko, gdy zobaczył onych mrowie, postanowił im się nie dać. Gdy pędzili wszyscy za nim przez Kopyły, on wyszył zbieżniki miecz i do swej murowanicy podążając walił na prawo i lewo, w co popadło i ścieżkę za sobą zasiał obrzymimi chojarami, na których się goniący go wyrwali.

Ma się wiedzieć, gdy tak tarasował grzebił Kopyły, że go zbież rywał w łapy swoje nie dostali, bo im uciekł. Ale gdy w pościgu za nim kłody spod nóg na dwie strony odrzucił, powstał przez Kopyły dukt, który służy ludziom teraz jako droga. Po jednej, po drugiej stronie — gęsty las, do nieba dosięgające gonne świece, a droga przez Sytkę jego mieczem wyrwana od pradawna po dziś dzień nie zarasta.

Opowiedział Eugeniusz Dziadosz z Pielgrzymki, pow. Jasło
opracował Władysław Długosz

„RUDE PRAVO” O WARSZAWSKIM TEATRZE POWSZECHNYM

Dziennik „Rude Pravo” zamieścił w numerze z 21 września artykuł poświęcony występom zespołu Państwowego Teatru Powszechnego z Warszawy na scenie teatru ABC w Pradze. Polscy artyści zaprezentowali praskim widzom „Kolumbów, rocznik dwudziesty” Bratnego i komedię Mollera „Don Juan”.

TV wypiera kino

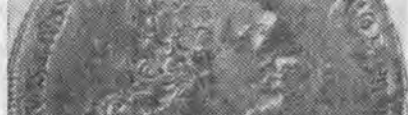
W 1965 r. liczba widzów w kinach włoskich wyniosła 660 milionów, a więc — jak podkreśla prasa włoska — była znacznie niższa niż w roku 1955, w którym przez kina przewinęło się 819 mln widzów.

Spadek frekwencji w kinach jest powszechnym zjawiskiem w wielu krajach europejskich. Od roku 1955 do 1965 liczba widzów spadła we Francji z 417 do 257 mln., w Niemczech z 766 mln do 315 mln, w Belgii z 106 mln do 46 mln, w Holandii z 66 mln do 40 mln. Można przyjąć, że w roku 1965 każdy Włoch był w kinie 12 razy, podczas gdy każdy Francuz — 5, Niemiec — 6, Belg — 5, Holender — 4. Również pod względem liczby kin pierwsze miejsce zajmują Włochy, które mają 11 616 kin, Francja miała ich w 1965 — 5 592, Niemcy zachodnie — 5 551, Anglia — 1 995.

Weszłym roku Włochy miały ok. 6,5 mln telewizorów, Francja 5,5 mln, Niemcy zachodnie — 10 mln, Wielka Brytania — 13 mln.

WYSTAWA „PIENIĄDZ OKRESU ROZBIOROWEGO 1772 — 1918 na terenie woj. rzeszowskiego”

Staraniem Muzeum Okręgowego i Koła Numizmatycznego PTA w Rzeszowie otwarta została wystawa monet, banknotów oraz dokumentów dotyczących stosunków monetarnych w dawnej Galicji: Na zdjęciu talar Stanisława Augusta Poniatowskiego z roku 1766 oraz półtalar Franciszka I z r. 1822.



POMALENKU i prawie niepostrzeżenie człowiek postarzał się i trochę zdziałał. A na świecie wciąż odbywa się jakaś zmiana warty: starzy odchodzą na emeryturę, w domowe pielesze, zaczynają doceniać rozkosz ciepłych domowych łapci. Stają się konserwatywni: chodzą wcześniej spać, nie lubią jazzowej muzyki, wybrzydząją się na beatników, na nowoczesne fryzury i

Mały felieton

na wiele innych rzeczy. W oczach swoich własnych dzieci wyglądają czasem jak stare kosmate niedźwiedzie, trochę groźne, trochę śmieszne, niedzisiejsze, nie nadążające za zawrotnym postępem naszych czasów.

Może przesadzam? Na pewno trochę przesadzam. Na tym polega sztuka pisania felietonów. W granicach przyzwoitości wolno trochę przesadzić. Byłe nie za dużo.

Stare mamuty zajęte są własnymi sprawami, własną przeszłością, która była tragiczna i heroiczna. Tkwią wspomnieniami w latach swojej młodości, która jak każda młodość, była wspaniała — jeśli nie zawsze, to w każdym razie niekiedy.

A tymczasem obok nas nowa młodość wyrosła i nowa młodość rośnie — nowy las. Pokolenie piękne, chciwe życia, bliskie naszym sercom, niecierpliwie i ciekawe, pewne siebie i trochę zarozumiałe, nieco nieufne i nieco zadufne, bo chyba właśnie tacy są nasi następcy, synowie nasi i córki. Kochamy ich, kochamy, lecz co o nich wiemy?

W latach mojej młodości zakochani chłopcy często rozmawiali z zakochanymi dziewczętami o sprawach wzniosłych i poważnych, o przyszłości świata, o drogach ludzkości, o sprawiedliwości i o wszechświatowej rewolucji. Inni omawiali problem powrotu do na-

tury lub wolnej miłości. Tak to bywało trzydzieści lat temu.

Niedawno podczas jakiegoś spotkania z czytelnikami mówiłem właśnie o tych sprawach, i pewien sympatyczny, lecz niedowierzający młody człowiek zapytał, czy to istotnie możliwe, by jakikolwiek młoda zakochana para mogła rozmawiać o polityce i filozofii podczas wieczornego wiosennego spaceru, kiedy w ogro-

dach pachną bzy, a na niebie jaśnieje pełnia księżycy.

Dałem słowo honoru, że to było możliwe, ale nie wiem czy uwierzył.

Ale słowa tego młodego człowieka wzbudziły we mnie niepokój innego rodzaju. Zacząłem zastanawiać się, o czym rozmawiają d z i a j zakochani, gdy spotykają się w parku lub w kawiarni. Może w ogóle nie rozmawiają, mo że tylko się całują? Też niegłupio. Może mówią wyłącznie o miłości? Może o poezji? O zagadnieniach ekonomicznych? Może o nowych modelach samochodów małowielitrowych? O nowych meblach? O modzie? O podróżach zagranicznych? O zawodach sportowych? O nowoczesnej muzyce?

Zawstydzilem się, bo co tu dużo gadać: nie wiem o czym mówią dzisiaj zakochani.

A Wy, drodzy państwo? Czy wiecie o czym marzą Wasze dzieci? O czym myślą, czego pragną, co ich niepokoi?

Nie chodzi o to, by być niedyskretnym. Nie chodzi o to, żeby cenzurować ich myśli. Ale chodzi o to, żeby nie zatracić wspólnego języka. By móc komuś pomóc, trzeba wiedzieć, co go boli. A młodość, to wiek szczególnie wrażliwy i delikatny. Wymaga czułości i zrozumienia.

KALMAN SEGAL

Zdarzenia tygodnia

W Domu Sztuki przy ul. 1 Maja w Rzeszowie czynna jest wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby artystów plastyków z czterech województw (białostockie, lubelskie, kieleckie i rzeszowskie), zorganizowana w ramach współpracy kulturalnej. Ponad 60 autorów zgromadziło przeszło 100 prac, które były już wystawiane w Lublinie, Białymstoku i Kielcach.

W piątek, 14 bm. odbyło się w WDK w Rzeszowie posiedzenie przedstawicieli organizacji i instytucji, zajmujących się upowszechnianiem kultury, na którym powołano Wojewódzki Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji i XIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Obie imprezy, jak już informowaliśmy, będą przebiegały pod znakiem obchodów 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Prowadzenie spraw związanych z festiwalami teatrów poezji powierzono Oddziałowi Wojewódzkiemu Związku Teatrów Amatorskich, natomiast konkursem zajmować się będą pracownicy WDK. Zainteresowanych informujemy, że imprezy środowiskowe festiwalu mają się odbyć w marcu, przegląd wojewódzki w kwietniu. Zgodnie z założeniami imprezy środowiskowe konkursu recytatorskiego odbędą się do końca grudnia br., powiatowe w styczniu i lutym, a eliminacje wojewódzkie w marcu.

20 bm. w Tyczynie i 21 w Rzeszowie odbyły się koncerty muzyki popularnej i rozrywkowej, zorganizowane przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie. Orkiestra, którą dyrygował Tadeusz Chachaj wykonała popularne utwory i melodie. Na program złożyły się również występy Leokadzie Zienko (piosenki — parodie) i Tadeusza Woźniakowskiego. Konferansjerką prowadzi Ryszard Serafinowicz.

W środę, tj. 19 października br. wyruszył do Austrii Zespół Pieśni i Tańca Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie.

Rzeszowianie rewizytują amatorski zespół z Hartbergu, który gościł na Rzeszowszczyźnie na początku br.

Na występy do Austrii udał się zespół taneczny, kapela, soliści oraz zespół orkiestralny Państwowej Szkoły Muzycznej.

20 bm. zakończył się cykl audycji umuzykalniających, zorganizowany przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie. Audycje były poświęcone muzyce hiszpańskiej. Cykl ten został przygotowany z okazji rocznicy walk o republikanizm Hiszpanii. Audycje odbywały się w szkołach miast i osiedli województwa rzeszowskiego.

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie czynna jest wystawa pt. „Rzeźba ludowa”, na której zgromadzono najcenniejsze zabytki z XVII do XX w., będące w posiadaniu tej placówki. O wartości niektórych z nich świadczy fakt, że reprezentowały polską sztukę ludową na wystawach międzynarodowych we Francji i Szwajcarii.

16 bm. w Powiatowym Domu Kultury w Sanoku odbył się wojewódzki koncert orkiestr dętych, zorganizowany w ramach Festiwalu Kulturalnego Zw. Zaw. przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych oraz rzeszowską Delegaturę Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych.

Na koncert złożyły się występy zespołów z Zakładów Eksploatacji Kopalin Węgla Naftowego w Ustrzykach Dolnych, ZPG „Dębica”, Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie i Mielcu oraz Parowozowni PKP w Rzeszowie i Żurawicy.

Najwięcej punktów otrzymał zespół z mieleckiej WSK, który prowadzi Grzegorz Osak.

22 bm. rozpoczyna się w Mielcu wojewódzki przegląd zespołów pieśni i tańca, zorganizowany w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych.

W sobotę wystąpią: Zespół Pieśni i Tańca GS „Samopomoc Chłopska” z Gaci pow. Przeworsk, Zespół Pieśni i Tańca Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie i ZDK Górnik - Haftowca z Gorlic.

W niedzielę w mieleckiej hal sportowo-widowskiej wystąpi natomiast Zespół Pieśni i Tańca „Niegłowice” Rafinerii Nafty w Jasle, „Lasowiaczy” z ZDK ze Stalowej Woli oraz „Rzeszowiaczy” — zespół ZDK z mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego.